

Lisa Reid
Oczy anioła
Opracowała Sharon Course
Z angielskiego przełożył Piotr Mikołajczyk
KK

KLUB DLA CIEBIE

Tytuł oryginału: ANGEL EYES

Zdjęcie na okładce:

New Zealand Woman's Day

Redakcja:

Grażyna Wiśniewska

Korekta: Małgorzata Juras

Copyright © by Lisa Keid. 2001 All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Bauer-Weltbild Sp. z o.o. Sp. K.,

Warszawa 2002

Bauer-Weltbild Media Sp. z o.o., Sp. K. Klub dla Ciebie Warszawa 2002 \v\vw.kdc.pl

V/o dziewięćdziesiąta trzecia publikacja Klubu dla Ciebie

ISBN 8[^]89076-13-6

Skłoni i hmuinii.: Koloncl

Druk i oprawa:

Drukarnia Naukowo -Techniczna SA

Wstęp

Nazywam się Lisa Reid i przez dziesięć lat byłam niewidoma. W naszym obrazkowym świecie to szczególnie dotkliwe kalectwo. Może zabrzmiało to zabawnie, jednak w ciągu ostatnich pięciu lat pozwolono mi ujrzeć więcej, niż sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę. Nauczyłam się dostrzegać piękno w moim sercu oraz we wszystkich otaczających mnie ludziach. Przez te dziesięć lat dorosłam, bardzo wiele się nauczyłam. Wszystko, co przeżyłam, stało się dla mnie źródłem mądrości oraz wewnętrznej siły.

Po tych wszystkich latach otrzymałam niezwykle cenny dar. Znowu mogę oglądać pączek róży rozkwitający w piękny kwiat.

YŚff

Rozdział 1,

Był ranek 16 listopada 2000 r. Światło słoneczne sączyło się przez zasłony w oknie, tworząc nad moim łóżkiem delikatną mgiełkę. Od dłuższego czasu nie robiłam nic poza obserwowaniem świetlnych wzorów na kołdrze. W końcu wstałam i powoli zbliżyłam się do wiszącego na ścianie lustra. Było oprawione w drewnianą ramę. Dotykając go, poczułam doskonale znane ciepło drewna i chłód szkła. Jednak osoba, którą ujrzałam w lustrze, nie była mi znana. Patrzyłam na młodą kobietę. Piękne, kasztanowe loki okalały ładną twarz. Spojrzałam w jej niebieskie oczy -głębokie i czyste. Kobieta również patrzyła na mnie, jakby zaciekawiła ją wpatrująca się w nią osoba. W pierwszym momencie wydawała się nieco przestraszona, lecz po chwili uśmiechnęła się. To był piękny uśmiech. Wprost promieniował ciepłem, którego źródłem były właśnie te oczy.

Chciałam odpowiedzieć uśmiechem, kiedy usłyszałam węszenie i stukot pazurów na podłodze mojego małego domku w Auckland. Poczułam na dłoni chłodny dotyk nosa.

- Ami, śliczności. Dzień dobry - powiedziałam, głaszcząc jedwabistą, białą głowę mojego ukochanego psa--przewodnika. - Zobacz, co twoja pani widzi.

Wskazałam na postać w lustrze. Kiedy dziesięć lat temu straciłam wzrok na skutek zagrażającego życiu guza mózgu, byłam dziewczynką. Teraz patrzyłam na dwudziestoczteroletnią kobietę, której wygląd zaparł mi dech w piersiach.

Poprzedniego wieczora pocałowałam Ami i, podnosząc się, uderzyłam głową w stolik w salonie mojego dwu-pokojowego domku. Zdarzyło się to, kiedy szykowałam kolację. Chodziłam po małej kuchni, wyczuwając dotykiem, w których garnkach już się gotuje. Muzyka sączyła się ze stojącego w sąsiednim pokoju radia. Usłyszałam stukot pazurów na drewnianej podłodze - Ami wchodziła do salonu. Postanowiłam pójść do niej. Było już dość późno, trochę nawet zbyt późno na kolację. Byłam bardzo zmęczona. Marzyłam tylko o tym, by położyć się do łóżka, musiałam jednak wcześniej coś zjeść.

Rak, z którym walczyłam wiele lat wcześniej, wciąż dawał o sobie znać - szybko ogarniało mnie zmęczenie. Często musiałam spędzać dni, odpoczywając i oszczędzając energię. Mijający dzień właściwie nie wyróżniał się z szeregu innych. Czułam się potwornie zmęczona, bardziej niż na ogół. Nie robiłam wiele poza leżeniem na sofie, słuchaniem telewizji i rozmyślaniami.

Położyłam się na sofie, by odpocząć. Usłyszałam, jak moja psina kładzie się obok na podłodze, pochyliłam się więc, aby ją pocałować. Całowałam Ami, ilekroć tylko nadarzała się okazja, dlatego bardzo często miała na łebku

ślady szminki, na ogół o pięknym odcieniu różu, w którym bardzo jej do twarzy. Kiedy podnosiłam głowę, uderzyłam w stolik. Naprawdę mocno. Drewniany kant trafił mnie dokładnie w czoło. Przez minutę czy dwie musiałam siedzieć, krzywiąc się z bólu. Byłam jednak przyzwyczajona do wpadania na różne rzeczy i nigdy nie cierpiałam z tego powodu zbyt długo. Po prostu mówiłam „auuu”, po czym wracałam do przerwanej przez uderzenie zajęcia. W końcu przez dziesięć lat od utraty wzroku wielokrotnie wpadałam bądź uderzałam w różne rzeczy.

Później, po kolacji, usiadłam na betonowej ścieżce w ogrodzie, napawając się ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Czułam się dziwnie. Byłam nieco zamroczone, tak jakby umysł oblepiła mi gęsta mgła, jednak nie zwracałam na to uwagi. W sumie, kiedy część twojego mózgu zostaje usunięta, często miewasz dni, kiedy czujesz się nieswojo. Czując na twarzy słoneczne ciepło, odwróciłam się do jego źródła i zamknęłam oczy, mimo iż blask nie mógł mnie porazić. Poczulałam sadowiącą się obok na ścieżce Ami. Przez chwilę kręciła się, próbując znaleźć najwygodniejszą pozycję.

„Prowadź mnie, Boże, przez życie i miej mnie w swojej opiece”, modliłam się cicho.

Właściwie nie jestem szczególnie religijna. Raczej wierzę w Boga na swój własny sposób.

Nie należę do żadnej zorganizowanej religii. Przez całe moje życie ta forma wiary sprawdzała się znakomicie.

Jak zwykle poszłyśmy wcześniej spać. Ami teoretycznie powinna spać na kocu leżącym obok łóżka, zawsze jednak wdrapywała się na łóżko. Przedzierała się przez zaporę z pościeli i zwiwała w kłębek na wysokości moich kolan. Bardzo rzadko zdarza się, żeby Ami opuszczała mnie choć na moment. Całe szczęście zresztą. Bez niej u mojego boku czuję się zagubiona.

Zawsze zasypiam z dłonią zatopioną

w sierści na jej karku. Czuję wtedy jej ciepło, czuję się bezpieczniej, wiedząc, że cokolwiek by się nie działo, ona zawsze będzie przy mnie.

Tej nocy jednak zdarzyło się coś zadziwiającego. Zwykły, wydawałoby się, wypadek, prozaiczne uderzenie w głowę przyniosło zupełnie nieoczekiwany efekt. Sprawilo, że lekarze byli kompletnie zdezorientowani, zaś cały świat zdumiony.

Położyłam się do łóżka jako osoba niewidoma. Kiedy się obudziłam, widziałam.

.. t *. 'tt .«. ->'iu

»,ir

, 4 -5*

i tw,

I'

\s l V ''

Rozdział 2.

Leżę na sofie z zamkniętymi oczami, udając, że śpię. Ale to nie jest zwykły sen. Jestem Królową Śnieżką. Ugryzłam zatrute jabłko, a przystojny książę nadchodzi, aby mnie obudzić. Uśmiecham się do swoich myśli. Czuję, jak delikatnie całuje mnie w czoło i słyszę jego znajomy głos:

- Obudź się, Śnieżko.

To mój ojciec. Powoli otwieram oczy i spoglądam na wysokiego szatyna pochylającego się nade mną z czułością. Mam pięć lat. To wspomnienie na zawsze wyryło się w mojej pamięci jako jedna z najszcześniejszych chwil mojego dzieciństwa. Tak odmienna od bólu, który poczułam, kiedy ojciec odszedł.

W zeszłym roku poszłam z Ami do sklepu z kasetami wideo. Ponieważ spędziłam w tym mieście całe swoje

11

życie, poznałam je na tyle dobrze, że z pomocą mojego wspaniałego psa-przewodnika trafiłam bez problemu.

- Czy dostanę u was „Królową Śnieżkę”? - spytałam drżącym głosem.

Na pewno się zastanawiali, po co niewidomej kasecie wideo. Pewnie doszli do wniosku, że to prezent dla jakiegoś siostrzeńca. Ale mylili się, kupiłam ją dla siebie. Tata kupił! mi płytę z piosenkami z filmu, kiedy był w Ameryce wraz z Królewską Flotą Nowej Zelandii. Wprost mieniące się kolorami rysunki na okładce płyty były naprawdę fajne, a piosenki wręcz uwielbiałam. Ale zawsze moim ulubionym fragmentem był ten, kiedy książę ratował Śnieżkę. Zawsze wtedy wyobrażałam sobie tatę jako mojego księcia. Dzięki tej kasecie wideo znów mogłam przywołać wszystkie dobre związane z nim wspomnienia: jego ciepłe poczucie humoru, dźwięczny śmiech, różne zwariowane pomysły. Raz, na przykład, sfotografował mnie, jeszcze maleńkie dziecko, ubraną w jego kalosze i ogromny kapelusz. Z kolei kiedy mama urodziła Chrisa, mojego młodszego o osiemnaście miesięcy brata, tata kupił mnóstwo prezentów, a wszystkie ceny ponaklejał na mnie. Mamę strasznie rozbawił widok jej maleństwa całego w naklejkach.

Tata nazywał mnie swoją małą dziewczynką. Przy nim czułam się jak ktoś absolutnie wyjątkowy. Kiedy odszedł, miałam wrażenie, że to moja wina. Już nie byłam jego małą dziewczynką? Cały mój świat wywrócił się do góry nogami. Tata zostawił nie tylko mamę, ale także i mnie. Co złego zrobiłam, że mnie to spotkało?

Jak wiele dzieci przeżywających rozpad związku rodziców, niewiele rozumiałam z tego, co się między nimi działo. Tata odchodził dwukrotnie, zanim opuścił nas na dobre. Pamiętam jeden z tych dni, kiedy wrócił. Szedł ulicą uśmiechnięty od ucha do ucha. Chris i ja bieglśmy mu naprzeciw ile sił w nogach, zaś mama stała za nami, płacząc

12

na jego widok z radości. Kiedy ostatecznie odszedł, wszyscy mieliśmy łzy w oczach. Zmywaliśmy naczynia bardzo przygnębieni. Chris upuścił miszkę, którą wycierał. Rozbiła się, więc zaczął płakać. Mama wzięła go na ręce i posadziła na lodówce, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Stałam i patrzyłam na nich. Nagle wszyscy zaczęliśmy płakać, nie z powodu miski, ale dlatego, że taty nie było z nami i nie było nadziei na jego powrót. Wszyscy w tym samym momencie uświadomiliśmy sobie tę stratę i to wypełniło nasze oczy łzami. Z czasem zamiast smutku zaczęłam odczuwać gniew. Postanowiłam wyrzucić ojca z mojego życia raz na zawsze. Nie było to proste, ale taka już jestem. Od dzieciństwa należałam do osób, które głośno mówią, co myślą.

Mama, pulchna, uśmiechnięta szatynka, zawsze w okularach, urodziła mnie 28 stycznia 1976 r. w szpitalu Północnego Wybrzeża w Auckland. Teraz śmieszy mnie to, że wiele lat później, jako niewidoma osoba, tam właśnie trafiłam do pracy. Czasami życie sprawia wrażenie

zapisanego gdzieś w gwiazdach, odkryłam jednak, że to nieprawda. Możesz dokonać wszystkiego, nawet niemożliwości, jeśli tylko naprawdę w to wierzysz.

Jako niemowlę byłam okropna. Żał mi mojej mamy, która musiała zajmować się tak skorym do płaczu dzieckiem. Opowiadała mi, że zaledwie po pięciu minutach od położenia mnie do łóżeczka zaczynałam wydierać się wniebogłose, nie reagując na żadne próby tulenia ani karmienia. Po prostu płakałam, tak jakby sprawiało mi to przyjemność. Z kolei kiedy nauczyłam się mówić, trząsałam bezustannie, co musiało być równie męczące dla mojej biednej mamy.

Kiedy się urodziłam, miałam głowę pokrytą ciemno-kasztanowym puszkim, który nie chciał zmienić koloru

13

przez całe półtora roku. Później wyrosły z niego gęste rude kędziory, za którymi nie przepadałam, choć wszystkich wprawiały w zachwyt. Były tak gęste i piękne, że kiedy miałam dziesięć lat, fryzjerka poprosiła, abym pozowała do reklamy jej zakładu. Niestety, zrobiła z nich szopę sterczących na wszystkie strony sprężynek. Nienawidziłam tej fryzury i wprost nie mogłam się doczekać, kiedy się jej pozbędę. Myślę, że każdy byłby zmartwiony, wchodząc do fryzjerki jako dziesięcioletnia dziewczynka, a wychodząc z wyglądem szesnastolatki. Od tego czasu bardzo pilnowałam, żeby nie wyglądać na starszą niż jestem. Devonport, gdzie się wychowałam, leży na niewielkim półwyspie i oddzielone jest od centrum Auckland morzem, co sprawia bardzo fajne wrażenie. Dziś Devonport jest jednym z najbardziej ekskluzywnych przedmieść Auckland, a jego pięknie odnowione wille z widokiem na zatokę Waitemata kosztują naprawdę ciężkie pieniądze. Ale kiedy byłam dzieckiem, wyglądało to nieco inaczej - w zwykłych domkach mieszkały zwykłe rodziny. Jedną z naszych ulubionych zabaw było zjeżdżanie na wielkich kawałkach kartonu ze stromych, zielonych stoków Mt Victoria, wygasłego wulkanu położonego na końcu półwyspu. Pewnego razu przewróciłam się podczas zjazdu i nabiłam sobie guza. Tata był wściekły, szczególnie na mamę, która, jego zdaniem, mnie nie upilnowała. Tamten dzień na zawsze utkwiał mi w pamięci. Wiele lat później uderzenie w głowę stało się zwiastunem szczęścia, ale wtedy było czymś strasznym, ponieważ doprowadziło tatę do wściekłości. Mieszkaliśmy poza bazą marynarki, w starym, wielkim, trzypiętrowym domu z dużym, zapuszczonym ogrodem. Dom potrzebował remontu, jednak nigdy nie mieliśmy na to pieniędzy. Po prostu uwielbiałam ten dom. Nawet teraz pojawia się w moich snach. Widzę pokoje, w których

14

bawiliśmy się z Chrisem oraz schody, którymi przekradaliśmy się oglądać telewizję, kiedy mama myślała, że śpimy. Mieliśmy swój punkt obserwacyjny, z którego, przez jadalnię, mogliśmy dokładnie widzieć ekran. Zawsze kiedy zaczynali się „Policjanci z Miami”, Chris wystukiwał w ścianę między naszymi pokojami specjalny sygnał, po czym potajemnie przekradaliśmy się, żeby oglądać serial.

Byłam dość typową dziewczynką. Uwielbiałam lalki Barbie, czytałam książki w stylu „Liceum Sweet Valley” lub opowieści Nancy Drew. Mój pierwszy rower był purpurowy, z różową kierownicą. Tata złożył go dla mnie własnoręcznie z różnych części. Kiedy z niego wyrosłam, tata już odszedł.

Mama, która wiązała koniec z końcem dzięki pomocy społecznej, oszczędzała na wszystkim, żeby kupić Chrisowi i mnie na gwiazdkę nowe rowery. Cała mama, zawsze dbająca bardziej o innych niż o siebie. Oboje się tego od niej nauczyliśmy. Nigdy nie zapomnę tej lekcji bezinteresownej miłości. Dzięki mamie zrozumiałam, jak ważne jest, by zawsze nosić w sercu miłość i przekazywać ją innym. Mama dawała nam tyle uczucia, że nigdy nie czuliśmy braku czegokolwiek, pomimo iż prawie nie mieliśmy pieniędzy. Zawsze mieliśmy ją: kiedy budziliśmy się każdego ranka, kiedy wracaliśmy ze szkoły, absolutnie zawsze. Była przy nas,

ilekroć jej potrzebowaliśmy. Bezpieczeństwo, które dawała nam w dzieciństwie i w okresie wchodzenia w dorosłość, bardzo pomagało w radzeniu sobie z wyzwaniami, które stawiało przed nami życie.

Najwspanialsze były jednak, mimo wszystko, dni, kiedy mama dostawała zasiłek. Zabierała nas zawsze do Penny Lane w centrum Devonport. Penny Lane to rodzaj baru, czegoś pośredniego między piekarnią i kafejką. Jedliśmy wtedy wielkie kanapki z serem, szynką i ananasm, a na deser pączki z bitą śmietaną, popijając sokiem. Czuliśmy

15

się wspaniale. Na obiad szliśmy do KFC, które, nie wiedzieć czemu, nazywaliśmy Opierzoną Kaczką. Wiem, że nie była to kaczka ani, tym bardziej, nie była opierzona, jednak w ten właśnie sposób rodzina Reidów określała tę restaurację i ta nazwa została mi w pamięci do dziś.

Tata, po rozwodzie z mamą, ożenił się w końcu z inną kobietą. Dla Chrisa i mnie życie nigdy już nie miało być takie samo. Kiedy nas odwiedzał, rozmawialiśmy przez chwilę, po czym zapadało krępujące milczenie. Wtedy tata wychodził z pokoju i szedł porozmawiać z mamą. Przez krótki czas przyjeżdżał bardzo często, potem zupełnie przestał. Mieszkał ze swoją żoną po przeciwległej stronie Auckland i zaczął nalegać, byśmy to my przyjeżdżali do niego. Nie zamierzaliśmy jednak tego robić, i żadne słowa nie mogły nas od tej decyzji odwieść.

Uważaliśmy, że byłoby to nielojalne wobec mamy, ponadto nie chcieliśmy mieć nic wspólnego z jego nowym życiem. W końcu ojciec posłużył się oszustwem, żeby poznać nas ze swoją nową rodziną.

Tata powiedział Chrisowi i mnie, że zabierze nas do Tęczowego Końca, wspaniałego lunaparku z cudownymi tunelami strachu. Pomysł bardzo się nam spodobał. Chcieliśmy spędzić to popołudnie tak, jak przed rozwodem. Wierzyliśmy, że ten dzień zbliży nas do siebie.

- Chcę, żebyście poznali moich dwóch przyjaciół - powiedział w samochodzie.

Byliśmy tak podekscytowani, że tylko pokiwaliśmy głowami z radością. Nie przyszło nam do głowy, że takie nieoczekiwane zaproszenie musi mieć swój ukryty cel.

Kiedy poznaliśmy „przyjaciół” taty, okazali się być dwoma nastolatkami. Już to wydało się nam nieco dziwne. Kiedy jednak w drodze powrotnej jeden z nich spytał, czy już poznaliśmy ich mamę, wszystko stało się jasne. Byli

16

synami nowej kobiety ojca. Poczułam się dotkliwie zraniona. Choć byliśmy z Chrisem bardzo młodzi, sposób, w jaki ojciec zorganizował to spotkanie, zdenerwował nas i zniesmaczył. Do dziś pamiętam, jak wściekła byłam z powodu tego podstępu i jak odebrało mi to całą radość z wycieczki.

Kiedy doświadczasz takiego bólu w tak młodym wieku, musi stać się coś złego. Nic dziwnego, że w wieku siedmiu lat przeżyłam najprawdziwsze załamanie nerwowe. Niewiele z tego okresu pamiętam, poza poczuciem zagubienia i bólu. Zostałam umieszczona na oddziale psychiatrycznym dziecięcego Szpitala Księżniczki Marii. Powtarzałam pielęgniarce, że nie będę jadła, ponieważ boję się, że przytyję. Sądziłam, że tata odszedł od mamy, ponieważ przytyła. To była pierwsza jaskółka zwiastująca moje późniejsze problemy z jedzeniem, które niemal doprowadziły do mojej śmierci.

Dziś rozumiem, że odejście ojca sprawiło także, że miałam wielkie kłopoty z mężczyznami. Desperacko szukałam kogoś, kto pokochałby mnie dla mnie samej, szczególnie po tym, jak guz mózgu pozbawił mnie wzroku.

Okres załamania był niezwykle trudny, ale krótki. Stosunkowo szybko poradziłam sobie z problemami, w dużej mierze dzięki pomocy z zewnątrz. Niebawem wróciłam do szkoły, mogąc znów robić wszystko, co sprawiało mi przyjemność. Wciąż byłam jednak bardzo rozczarowana tym, co zrobił tata. Kilka lat po jego odejściu przelałam na kartki pamiętnika

cały mój ból. Pamiętnik do dziś jest moim skarbem, nawet pomimo iż niektóre zapisy przywołują bardzo przykre wspomnienia.

Święta to czas spokoju, czas cudów. Spędziłam je z ludźmi, którzy szczerze mnie kochają. Z moją rodziną - moją

17

mamą i moim bratem. Było świetnie. Czuję się kochana i wyjątkowa. Boję się jednak, że myśląc tak, zachowuję się samolubnie. Czuję, że część moich marzeń umarła.

Tata się nie pojawił, nawet nie zadzwonił. Jest mi bardzo przykro, bo wiem, że już mnie nie kocha. Nie chce, bym była jego córką. Mój tatuś nie chce, bym była jego małą dziewczynką. Jestem jeszcze młoda i chciałabym czasami poczuć się jak dziewczynka. Czuję się zagubiona. Tata miał zawsze swój własny kąt w moim sercu, bardzo obszerny. Wypełniłam go po brzegi najsilniejszą, najszczerzą miłością. Teraz jest pusty i nie wiem, co mam robić.

Moje uczucia są paskudne. Tak bardzo kocham swoją mamę i brata, że naprawdę, do diabła, nie powinnam być samolubna i domagać się jeszcze taty. Może po prostu na niego nie zasługuję, mimo iż tak bardzo go pragnę. To prawdziwe szczęście, że mam to, co mam, pomimo iż jestem dla wszystkich takim utrapieniem. Życzę wszystkim Wesołych Świąt. Przepraszam za to, że jestem taka samolubna.

W całym tym bolesnym zamieszaniu szkoła przynosiła pewną ulgę. Chodziłam do podstawówki w Devonport, w której wdrażano specjalny program wspólnej nauki dzieci z różnych środowisk. Poznałam tam wielu przyjaciół, zarówno dziewcząt, jak i chłopców. Uwielbiam Auckland właśnie za to, że stanowi tygiel, w którym mieszkają się różne kultury i ludzie.

Jako dziewczynka kochałam pisać. Byłam niesamowicie dumna z mojego pięknego charakteru pisma. Mnóstwo czasu poświęcałam też na czytanie. Siedziałam po uszy w książkach i kiedy utraciłam wzrok, ich brak odczułam szczególnie dotkliwie. Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy okazało się, że wygrałam w ogólnoszkolnym konkursie czytelniczym. Przeczytałam wtedy „Wielkiego, przyjaz-

18

nego giganta" Roalda Dahla. Otrzymałam także doroczną nagrodę obywatelską za to, że zawsze gotowa byłam pomagać, nie żądając niczego w zamian. Nie piszę tego wszystkiego, by się chwalić. Zachowywałam się tak, ponieważ tak mnie wychowano. Odczuwałam wobec świata bezinteresowną miłość i nigdy nie oczekiwałam rewanżu. Muszę przyznać, że do końca życia zapamiętam odbiór tej nagrody. Podchodzę powoli do podestu, a wszyscy zgromadzeni na sali rodzice patrzą tylko na mnie. To jedna z najcudowniejszych chwil w moim życiu.

Niedługo przed wykryciem u mnie guza mózgu miałam wypadek na rowerze. Upadłam podczas jazdy tak nieszczęśliwie, że straciłam przytomność. Kiedy Chris mnie znalazł, leżałam na chodniku. Moja poszarzała twarz sprawiła, że pobiegł przerażony do domu. - Mamo, mamo, Lisa nie żyje! - wrzeszczał blady jak ściana.

Nie miał pojęcia, że straciłam tylko przytomność, myślał, że naprawdę umarłam. Kiedy doszłam do siebie, ktoś pomógł mi wstać, po czym zostałam zaprowadzona do położonego nieopodal domu jednej z koleżanek. Do drzwi prowadziło kilka stopni, pamiętam jednak także i inne, prowadzące na górę schody. Później dowiedziałam się, że w tamtym domu nie było innych schodów. Do dziś zastanawiam się, czy były to schody do Nieba i czy naprawdę tak niewiele brakowało mi do śmierci, czy też miałam po prostu halucynacje wywołane uderzeniem w głowę. Cokolwiek to jednak było, przydarzyło mi się wtedy coś niesamowitego i cudownego zarazem. Myślę, że właśnie wtedy po raz pierwszy spotkałam się z moim aniołem stróżem, który opiekuje się mną do dziś. Wtedy jednak nie wiedziałam, jak bardzo będę w przyszłości potrzebować tej opieki.

Rozdział 3.

- Liso Reid, dlaczego znów piszesz pod linią?

Nauczycielka gniewała się na mnie. Bez względu na to, jak często mnie poprawiała, pisząc, nie byłam w stanie zmieścić się w linijkach. Moje słowa zawsze zawisały pod nimi. W wieku dziesięciu lat bardzo trudno pogodzić się z tym, że coś tak prostego sprawia kłopoty.

Próbowałam bez ustanku. Doskonale widziałam, gdzie powinien znaleźć się długopis, ale moja ręka nie chciała mnie słuchać. Nigdy nie docierała tam, gdzie powinna. Nikomu nie mówiłam o tych kłopotach. A był to pierwszy objaw guza mózgu.

Rok później zaczęłam chodzić do gimnazjum w Belmont. Miałam stamtąd blisko do naszego domu w Devonport. Szkoła była urocza, panowała w niej bardzo przyjacielska atmosfera.

21

Pewnego dnia na ciemnobrązową podłogę klasy upadła mi jaskraworóżowa gumka. Zaczęłam jej szukać. Powinna była leżeć gdzieś koło mojej nogi, tymczasem nie mogłam jej nigdzie dojrzeć. Rozglądałam się, coraz bardziej zadziwiona jej zniknięciem.

- Hej, Lisa, jest tutaj - koleżanka wpatrywała się we mnie, jakbym była ślepa lub głupia. - Obok twojej prawej stopy.

Schyliłam się i przeszukałam podłogę palcami. Gumka leżała dokładnie tam, gdzie powinna była upaść.

Wyśmiałam całe zdarzenie, ale w głębi duszy zastanawiałam się, dlaczego nie dojrzałam czegoś, co moja koleżanka zauważyła bez żadnego problemu. To nie miało sensu. Wciąż jednak nie odważyłam się komukolwiek o tym powiedzieć, gdyż nie miałam pojęcia, co się ze mną działo.

Niedługo po zdarzeniu z gumką mama zabrała mnie na mecz rugby. Po meczu poszliśmy napić się czegoś do budynku klubowego. Poprosiłam o lemoniadę, upiłam kilka łyków...

Chciałam postawić szklankę na schodach, obok których stałam, ale nie udało mi się.

Widziałam dokładnie moją szklankę, a także miejsce, w którym chciałam ją postawić, ale po prostu nie byłam w stanie. Podobnie było, kiedy chciałam odstawić szklankę na półkę. Nie mogłam trafić. W końcu wyciągnęłam rękę tak daleko, że uderzyłam o szafkę. Miałam nadzieję, że mama niczego nie zauważyła. Kiedy nie odezwała się na ten temat ani słowem, odetchnęłam z ulgą.

Nikomu nie powiedziałam też, kiedy zaczęłam tracić wzrok. Przytrafiało mi się to zupełnie niespodziewanie, coraz częściej i częściej... W jednej chwili widziałam, a już sekundę później wszystko tonęło w ciemności lub gęstej, przerażającej mgle. Starłam się żyć zupełnie zwyczajnie, robiąc sobie żarty ze wszystkich dziwnych rzeczy, które

22

przytrafiały mi się, kiedy nie wiedziałam, co się dookoła mnie dzieje. Cała ja - wieczny żartowniś.

Raz zdarzyło mi się to na przyjęciu urodzinowym mojej przyjaciółki. Bawiłam się w najlepsze, kiedy nagle wszystko pogrążyło się w ciemności. Zachwiałam się, ale natychmiast oparłam o stół, obok którego stałam. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, szybko złapałam pierwszą rzecz, która spadła mi w rękę.

- Lisa, to przecież cukierek rumowy - zawołała z obrzydzeniem przyjaciółka. Obie nie znosiłyśmy cukierków rumowych.

- Och, rzeczywiście. Fuj - odłożyłam cukierek na miejsce, rozpaczliwie poszukując czegoś innego. Odetchnęłam z ulgą, kiedy moje palce trafiły na paczkę chipsów.

Bawiłam się koszmarnie. Przez całe przyjęcie przerażała mnie myśl, że ktoś mógłby zorientować się, że nic nie widzę. Szczególnie, kiedy poszliśmy bawić się do ogrodu.

Wszyscy rozbiegli się dookoła, a ja nie byłam w stanie. Nie tylko nic nie widziałam. Niemal nie mogłam poruszać nogami. Zaczęłam więc udawać, że biegam w zwolnionym tempie, jak na filmie. Wszystkim strasznie się to spodobało, jak zawsze, kiedy się wygłupiałam.

To zabawne, jak łatwo było mi ukrywać swój sekret, maskując wszystkie potknięcia śmiechem. Mama odbierała mnie ze szkoły, a ja coraz częściej szłam do samochodu na wycucie, nie widząc, co się dookoła mnie dzieje. Nauczyłam się tego tak dobrze, że mama nie zorientowała się nawet, kiedy kilkakrotnie uderzyłam w drzwi samochodu, nie wiedząc, że już jestem u celu.

W głębi duszy byłam skołowana i przerażona. Traciłam wzrok i odzyskiwałam. Kiedy przez dłuższy czas nie miałam żadnych problemów, łudziłam się, że ode-

23

szły na zawsze. Wtedy każdy nawrót był straszliwym ciosem.

Często budziłam się ze strasznymi bólami głowy. Mama wiedziała o nich. Nie było sensu tego ukrywać, czasami bowiem czułam się tak źle, że wymiotowałam. Na ogół pomagało mi to na tyle, że mogłam iść do szkoły, udając, że czuję się po prostu świetnie, podczas gdy w rzeczywistości odchodziłam od zmysłów z przerażenia.

Podczas wakacji w lipcu 1987 r. wymiotowałam już niemal bez przerwy, także krwią. Głowa bolała mnie bardziej niż kiedykolwiek, a kłopoty ze wzrokiem powtarzały się raz za razem. Byłam przerażona i mama doskonale o tym wiedziała.

- Zabieram cię do lekarza - mama była stanowcza wobec moich oporów.

Bardzo bałam się tej wizyty, nie chciałam wiedzieć, co mi dolega. W jakiś sposób czułam, że to coś poważnego, coś, co sprawi, że poczuję się jeszcze gorzej. A dopóki nie wiedziałam, co to jest, mogłam mieć nadzieję, że pewnego dnia dolegliwości same odejdą.

Naszym lekarzem była przemiła kobieta Cathy Miller. Chodziłam z jej córką na gimnastykę. Cathy niemal natychmiast zorientowała się, co mi dolega. Wystarczyło, że zaświeciła mi w oczy niewielką żaróweczką. Zauważyła objawy guza mózgu. Dużego. Naciskał na nerwy wzroku, co sprawiało, że wypychały na zewnątrz płyn wypełniający gałki oczne. Podobny widok u kogoś tak młodego musiał ją bardzo zasmucić. Cieszę się jednak, że nie dała tego po sobie poznać. Myślę, że nie zniosłabym tego.

W dalszych badaniach uczestniczył jeszcze jeden lekarz. Najpierw siedzieliśmy w poczekalni, kiedy dr Miller zajmowała się innymi pacjentami, którzy czekali, podczas gdy ja byłam badana. Wydawało się, że trwa to całą wieczność. W końcu zostałyśmy wezwane ponownie.

24

- Dotknij nosa.

- Idź wzdłuż tej linii.

- Pokaż język.

- Spójrz tu. A teraz tam - kolejne polecenia sprawiały, że mama wyglądała coraz smutniej.

Myślałyśmy, że źródłem moich dolegliwości były oczy. Aż do czasu strasznej diagnozy. Oczy można było leczyć, zaś wszystko, co wiązało się z mózgiem, było tajemnicze i przerażające. Jeśli coś było nie tak z twoim mózgiem, na ogół było to nieodwracalne i często śmiertelne. Bezpośrednio po badaniach wciąż jednak myślałam, że chodzi o moje oczy.

- Tylko nie okulary, proszę - zapłakana ścisnęłam dłoń mamy. - Nie chcę nosić okularów.

W końcu dr Miller usiadła z nami i powiedziała, że muszę natychmiast pojechać do Szpitala Księżniczki Marii, centralnego szpitala dziecięcego, w którym ostatni raz byłam, kiedy jako siedmiolatka dochodziłam do siebie po załamaniu.

Sanitariusz, który przyjmował mnie do szpitala, był bardzo przystojny. Przypominał faceta z Ali Blacks. Tak zwyczajowo nazywa się narodową reprezentację Nowej Zelandii w rugby. Ponownie przeszedłam wszystkie badania. Podczas kontrolowania moich odruchów sanitariusz złapał mnie za udo. Spojrzałam na niego ze złością.

- Trenowałam sztuki walki - moja twarz była śmiertelnie poważna.

To była prawda. Znałam sztuki walki i nie bałam się ich stosować, nawet na przystojnym sanitariuszu. On jednak tylko się roześmiał. I myślę, że faktycznie było to dość zabawne.

Kiedy zostałam przebadana przez sanitariusza, przyjęto mnie na oddział. Wtedy zbadano mnie bardzo gruntownie. Troje lekarzy po kolei zaglądało mi w oczy, wciąż jednak

25

nikt nie powiedział nam, co się tak naprawdę dzieje. Byłam tylko jedenastoletnim dzieckiem, więc myślałam, że to coś jak grypa. Sądziłam, że połknę kilka tabletek, może zrobią mi zastrzyk i będę mogła iść do domu, cała i zdrowa. Mama jednak doskonale wiedziała, że coś jest bardzo nie w porządku, choć nie odezwała się ani słowem. Była dla mnie prawdziwą opoką, choć wiem, jak bardzo ją martwiło, że jej mała córeczka przechodzi wszystkie te badania. Pamiętam, z jakim smutkiem wpatrywała się w puste twarze lekarzy.

Zrobiono mi tomografię komputerową, która daje dokładny obraz mózgu. Wtedy już wiedziałam, że to coś poważniejszego niż tylko oczy. Gdyby bowiem było inaczej, po co zadawano by sobie tyle trudu? Lata później, kiedy pracowałam w szpitalu, pytałam ludzi obsługujących takie aparaty, jak się czuli, widząc guza mózgu? Co mówili, kiedy osoba, której życie wisiało na włosku, pytała, czy wszystko w porządku? Odpowiadali mi, że choć było to bardzo trudne, nie wolno im było nic powiedzieć pacjentowi. Tak właśnie stało się ze mną.

Już pierwszego dnia w szpitalu mój wzrok znacząco się pogorszył. Choć tackę z obiadem położono mi na kolanach, nie byłam w stanie dostrzec, co jem, wszystko rozmywało się i nikło w ciemnościach. Wiedziałam, że powinnam coś zjeść, więc próbowałam się zmusić, jednak na niewiele się to zdało.

Jeden z lekarzy, którzy badali mnie zaraz po przyjęciu na oddział, powiedział mi w końcu prawdę.

- Znaleźliśmy go - poinformował małą, skuloną w szpitalnym łóżku dziewczynkę, owiniętą w zbyt obszerny dla jej drobnego ciała szpitalny szlafrok. - Masz guza mózgu, Liso.

26

i

- Och - to wszystko, co byłam w stanie wyjąkać. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam zbyt dokładnie, co to znaczy.

Kiedy doktor wyszedł, zaczęłam w spokoju zastanawiać się nad diagnozą. Guz mózgu? To chyba niedobrze, prawda?

- Mamo, już wiem co mi dolega! - krzyknęłam, kiedy tylko zobaczyłam w drzwiach dobrze znaną postać. - Powiedzieli, że mam guza mózgu.

- I jak się z tym czujesz? - wyszeptła z czułością, ściskając moją dłoń. Robiła, co mogła, żeby nie okazać, jak bardzo wstrząsnęła nią ta wiadomość.

- Było mi żal lekarza - odpowiedziałam uprzejmie. - Chyba było mu przykro, kiedy mi to mówił.

Wieczorem mama przyszła ponownie, tym razem /, Chrisem. Mój brat był bardzo smutny, kiedy dowiedział się, co mi dolega, mimo iż nie wiedział zbyt dobrze, co to znaczy. Mama i Chris przynieśli mi na kolację hamburgera z frytkami. Koniec końców, wszystkie trzy porcje zjadł mój brat, ponieważ mama i ja byłyśmy zbyt zdenerwowane, by cokolwiek przełknąć. Mama zadzwoniła do ojca, aby powiedzieć mu o moich dolegliwościach. Nie miałam najmniejszej ochoty się / nim widzieć. Personel szpitala doskonale o tym wiedział i gdyby nawet ojciec przyjechał, nie zostałby do mnie wpuszczony.

Nazajutrz po diagnozie poddano mnie operacji. Zostałam przewieziona do Auckland, do krajowego centrum chirurgicznego. Dr Chris Furneaux, lekarz, który mnie operował, lił wówczas jednym z najlepszych neurochirurgów w kraju.

Mój guz mózgu, jak się później dowiedziałam, nazywał się astrocytoma. Kiedy rósł, a robił to bardzo szybko, jego nacisk sprawiał, że do moich nerwów wzrokowych prze-st awała dopływać krew. To prowadziło do utraty wzroku - niedostatek krwi powodował, że komórki obumierały.

A kiedy to następowało - nie były już w stanie się zregenerować.

Astrocytoma najczęściej atakuje mózdzek, tak też było i w tym przypadku. Typowe objawy nowotworu mózdzku to bóle głowy, wymioty oraz kłopoty z równowagą -dokładnie tak, jak działo się ze mną. Dziś leczenie takiego guza zaczyna się od chemioterapii, wówczas jednak uważano, że środki chemiczne nie są w stanie skutecznie oddziaływać na komórki mózgowe. Dlatego w moim przypadku rozwiązanie mogło być tylko jedno - operacja. Chirurg musiał wyciąć guz, koniecznie w całości, aby nie mógł się dalej rozrastać.

Dr Furneaux był bardzo miły. Opowiedział mi ze szczegółami, co mi dolegało i co zamierzał zrobić, aby mnie wyleczyć. Nie robił złudnych nadziei, niczego nie owijał w bawełnę. Powiedział, że w całej swojej karierze nie widział guza takich rozmiarów u dorosłego, nie wspominając nawet o dziecku. Był tak rozległy, że sięgał od potylicy niemal po kark, co oznaczało, że lekarze zmuszeni byli usunąć mi naprawdę spory kawałek mózgu. Następnie mieli zamknąć moją czaszkę i modlić się o pomyślność. Istniało niebezpieczeństwo, że wystąpią problemy z nadmiarem płynów mózgowych, bądź że nerwy wzrokowe zostaną uszkodzone zbyt mocno, jednak, jak powiedział dr Furneaux, „były to przeszkody, które należało pokonywać w miarę ich pojawiania się”.

Prawdziwie wstrząsająca była jednak rozmowa, którą przeprowadził z moją mamą. Powiedział, że mam zaledwie pięć procent szans na przeżycie operacji. Co więcej, gdyby nawet nastąpił ten cud, bardzo prawdopodobne było, że nadal będę miała poważne, tym razem już nieodwracalne problemy zdrowotne. Takie były koszty usunięcia tak rozległych partii mózgu.

Mama z wielkim trudem odeszła tamtej nocy od mojego łóżka. Była bardzo dzielna. Kiedy mówiła mi dobranoc, wydawała się być niemal zupełnie opanowana. Już jej nie widziałam. Nacisk guza na mózg był tak silny, że w zasadzie utraciłam wzrok zupełnie. Gdyby zwlekano z moją operacją chociaż jeden dzień dłużej, prawdopodobnie bym jej nie dożyła.

Nie mogłam widzieć, kiedy mama wychodziła z mojej sali, długo jednak krzyczałam za nią w ciemność:

- Kocham cię, mamusiu!

Musiała być w okropnym stanie, kiedy odwiedzała mnie w dzień operacji następnego dnia- 10 lipca 1987 r. Przewożono mnie na moim łóżku do sali, która miała stać się sceną skomplikowanej, dziewięciogodzinnej operacji. Po raz ostatni mnie pocałowała, po raz ostatni przytuliła... Kiedy zamykały się za mną drzwi windy, mogła przypuszczać, że patrzy na swoją małą dziewczynkę po raz ostatni. Pomimo tego pozostała silna. Wpatrywała się we mnie, dopóki drzwi windy nie oddzieliły nas od siebie i dopóki najmniejsza w nich szczelina nie zamknęła się ostatecznie.

Jak powiedziały mi później pielęgniarki, dopiero wtedy mama oparła się o ścianę obok windy, po czym z wolna osunęła się na ziemię. Miejsce, w którym stała, znaczyła słońka kałuża jej łez.

Rozdział 4

Umieram z pragnienia, ale jedyne, co dostaję, to niewielkie płatki lodu do ssania. Całe moje ciało dosłownie błaga o coś do picia. Powoli dociera do mnie, gdzie się znajduję, wyczuwam otaczającą mnie aparaturę, na głowie czuję bandaż. Zaczynam się zastanawiać, dlaczego moja głowa skierowana jest do wewnątrz sali zamiast do ściany, jak w normalnej sali szpitalnej. Później się dowiedziałam -to normalne na oddziale intensywnej terapii neurochirurgicznej. Mama siedzi koło mnie. Jej widok działa kojąco. Mój Boże, jak ja ją kocham. Przez długie dziewięć godzin mojej operacji wędrowała, krok za krokiem, po całym Auckland, modląc się o moje zdrowie. Teraz jestem po operacji, a jedyne o czym mogę myśleć, to coś do picia.

Otworzyły się drzwi - to dr Furneaux przyszedł zobaczyć, jak się czuję. Rana nieco ciekła, trzeba było ponownie zaszywać. Wciąż byłam nafaszerowana środkami przeciwbólowymi, więc nie dostałam żadnego miejscowego znieczulenia. Lekarze sądzili, że jestem tak odrętwiała, iż nie poczuję tego cholernego „małego szwu”. Później kilkakrotnie robiono mi nakłucia lędźwiowe, aby oczyścić krew z wypełniającego rdzeń kręgowy płynu i nigdy nie bolało tak potwornie jak przy zakładaniu tego szwu. To był dla mnie prawdziwy koszmar. Krzyczałam, jednak sonda, którą podczas operacji miałam w gardle, zmieniła mój krzyk w śmieszny, rozpaczliwy rechot.

Już po wszystkim dr Furneaux pogłaskał mnie z uśmiechem po głowie.

- Mój mały cud - ten znakomity lekarz naprawdę uważał to, co się stało, za cud.

To było pierwsze cudowne wydarzenie w moim życiu. Ale nie ostatnie. Na kolejną interwencję niebios miałam jednak czekać jeszcze trzynaście lat.

Dowiedziałam się, że aby uporać się z guzem, lekarze musieli sięgnąć bardzo daleko w głąb mojego mózgu. Rana miała około trzydziestu centymetrów. Zaczynała się na czubku głowy, a kończyła w połowie drogi do karku. Zgolono mi włosy na potylicy, przez co pozostały tylko kręcone kępki opadające na czoło. Powiedziano, że komórki, które musiano usunąć, nie zregenerują się, lecz inne partie mózgu przejmą ich funkcje, zaś wolne miejsce zostanie wypełnione płynem, którego ciśnienie będzie stale monitorowane.

Mówiąc wprost - operacja stanowiła dla mnie koniec wielu rzeczy, które mogłam robić przed pójściem do szpitala. Wyjątkiem było mówienie. Wielu ludzi po tak

32

poważnej operacji traci zdolność mówienia. Nie ja. Wydarzenie, które z łatwością mogło skończyć się moją śmiercią, nie było w stanie odebrać mi tej zdolności.

Nie mogłam za to chodzić, posługiwać się nożem i widelcem, czytać bądź pisać. Mój wzrok poprawił się nieco, nadal jednak był w nie najlepszym stanie. Wciąż wszystko było zamazane i niewyraźne. Odkąd usunięto mi większą część prawej półkuli mózgu, która kontrolowała lewą stronę mojego ciała, moja lewa ręka i noga stały się słabe i zwiotczałe. Miałam wielkie trudności z panowaniem nad nimi, do tego stopnia, że choć przed operacją byłam leworęczna, teraz musiałam nauczyć się posługiwać prawą ręką. I tak jednak czułam się bezradna jak niemowlę potrzebujące pomocy w najprostszymi nawet sprawach.

Trzeba mnie było karmić, aby się załatwić, musiałam korzystać z basenu, czego z całego serca nienawidziłam. Po pięciu dniach spędzonych na intensywnej terapii zostałam przeniesiona na oddział ogólny, gdzie niemal natychmiast rozpoczęła się fizjoterapia.

Pielęgniarki były naprawdę cudowne. Leżałam w szpitalu na tyle długo, że zdążyły mnie już poznać. Przynosiły mi grzanki i gazowany sok pomarańczowy ilekroć na śniadanie była owsianka, za którą nie przepadałam. Kiedy jednak pierwszy raz rozczesały mi włosy, miałam ochotę krzyczeć. Ból był straszny. Po każdym pociągnięciu na szczotce zostawała krew. Spróbowałam się przejść. Przewróciłam się, ledwo stanęłam na nogi. Tak naprawdę nie mogłam się nawet czołgać. Byłam załamana, ale zamiast płaczu z moich ust wydobywało się tylko dziwne, przygnębiające kwilenie. Nie byłam nawet w stanie porządnie płakać. Lewa strona mojego ciała była całkowicie bezużyteczna. Zresztą, na dobrą sprawę, nawet po czternastu latach mam z nią kłopoty.

33

Kiedy przestano nafaszerować mnie środkami przeciwbólowymi, nakłucia lędźwiowe stały się prawdziwą torturą, pomimo, że całe cierpienie ostatnich dni nauczyło mnie znosić ból.

Moja mama była cudowna. Starła się spełnić wszystkie moje zachcianki. Raz poszła do miasta specjalnie po kurczaka z KFC, bo wiedziała, że mam już serdecznie dość szpitalnego jedzenia. Razem z mamą podjęliśmy niezwykle trudną decyzję, której zresztą nigdy później nie żałowałam. Trzeba przyznać, że był to prawdziwy hazard, w którym stawką było moje życie.

Aby mieć absolutną pewność, że guz się nie odnowi, powinnam była poddać się radioterapii. Skutkiem ubocznym, bardzo poważnym skutkiem ubocznym, byłaby utrata władzy w nogach, ponieważ zabieg uszkodziłby ośrodki mózgu odpowiedzialne za chód. Dziś technika umożliwia wykonywanie tych zabiegów z większą precyzją, dzięki czemu szkody wyrządzone pozostałym częściom mózgu są stosunkowo niewielkie. Wtedy jednak było inaczej. Koniec końców, hazard się opłacił. Mój guz nie odnowił się, ja zaś, nie poddawszy się radioterapii, mogłam chodzić.

Wyobraźcie sobie, jak przerażająca była dla mnie wizja poruszania się na wózku inwalidzkim ciągniętym przez psa-przewodnika. Szczerze mówiąc, gdy się nad tym zastanowić, potrzebowałabym raczej konia-przewodnika. Ilekroć sobie to wyobrażę, nie mogę powstrzymać się od śmiechu, choć w gruncie rzeczy wizja życia zarówno bez wzroku, jak i władzy w nogach jest przerażająca. Tak bardzo, że musiałam wymyślić ten absurd, by się z nią uporać.

W ciągu całej mojej batalii o odzyskanie podstawowych fizycznych zdolności prześladowała mnie wizja powrotu

34

raka. Wielokrotnie budziłam się z krzykiem, gdyż śniło mi się, że ponownie wykryto guza, który tym razem mnie uśmierca. Nikomu o tym nie mówiłam, gdyż nie chciałam niepokoić mojej rodziny. Tak naprawdę, bardziej od utraty życia martwiło mnie to, co oni czuliby w tej sytuacji. Aby jednak tego w sobie nie tłumić, napisałam w pamiętniku coś w rodzaju pożegnania z mamą i Chrisem. Chciałam, żeby wiedzieli, jak bardzo ich kochałam, i że nie boję się umrzeć. Spiesząc się z powodu mojego stale pogarszającego się wzroku, na przypadkowo znalezionym skrawku papieru napisałam:

Piszę to, aby powiedzieć, jak bardzo Was wszystkich kocham. Proszę, przeczytajcie moje słowa uważnie, ponieważ są bardzo, bardzo szczerze. Kochani, może kiedy będziecie to czytać, mnie już nie będzie na tym świecie, jednak cały czas będę z Wami. Nie pozbędziecie się mnie tak łatwo!

Nie boję się umrzeć. Myślę, że już nigdy nie będę się tego bała, zwłaszcza że wolę raczej myśleć o przyjemniejszych rzeczach. Wiem jednak, że nawet jeśli to nastąpi, rozstaniemy się tylko na chwilę, a ponownie złączymy, kiedy nadejdzie Wasz czas. Tak naprawdę, najtrudniejsze będzie pogodzenie się z tym, że Was na jakiś czas opuszczę. Bardzo Was kocham. Chcę, żebyście zawsze o tym pamiętali, bez względu na to, jak bardzo daleko będziecie myśleli, że jestem. Tak naprawdę będę zawsze bardzo blisko -w Waszych sercach. Może nie będę w stanie rozmawiać z Wami jak żyjąca osoba, jednak zawsze przemawiać będzie do Was miłość, którą Was otoczę. Nigdy nie myślcie o mnie jak o umarłej. Zawsze myślcie jak o żyjącej, ponieważ żyję teraz. I nawet jeśli przez chwilę nie będziemy mogli dzielić naszych radości i smutków, zawsze będziemy razem.

35

Mamo, Chris, pamiętajcie proszę, że zawsze będę tu dla Was, i że zawsze będę Was kochała. Mnóstwo, mnóstwo miłości, uścisków i buziaków od Waszej jedynej córeczki i siostry.

Lisa

Pogodzenie się ze śmiercią przyszło mi tak łatwo, nawet pomimo młodego wieku, ponieważ wierzyłam, że wewnątrz mnie dzieje się coś naprawdę zdumiewającego. Naprawdę stałam się silniejsza, coraz łatwiej też przychodziło mi godzenie się z różnymi problemami. Wydaje mi się, że to naturalna kolej rzeczy, kiedy przechodzi się przez coś tak strasznego i bolesnego jak rak oraz postępująca utrata wzroku. Ilekroć zamykasz oczy, boisz się, że kiedy ponownie je otworzysz, ujrzysz jedynie mrok. Z czasem więc niewiele rzeczy jest w stanie cię przestraszyć.

Przeszłam tę próbę, ponieważ mocno wierzyłam, że Bóg się mną opiekuje, i że to właśnie on pomógł mi przejść przez chorobę i rehabilitację. Zupełnie poważnie, wierzę, że dokładnie to mnie spotkało. Ta próba nauczyła mnie pokonywać przeciwności, pokazała, że mam w sobie siłę, która pozwoli mi zwyciężyć wszystko, co mogłoby spotkać mnie w przyszłości. Ta świadomość pozwalała mi trwać. Ona i moja wiara.

Napisałam wiersz na temat raka i choć tworzenie go było ciężkim doświadczeniem, dało mi siłę, by znieść tę sytuację. Wiersz, zatytułowany oczywiście „Rak”, opowiadał nie tylko o mnie, lecz o każdym, kto cierpiał z powodu tej strasznej choroby. Kartka zapisana była mozolnie stawianym, pochylonym, rozjeżdżającym się pismem, z trudem mieszczącym się w linijkach... W niczym nie przypominało mojego, niegdyś pięknego charakteru pisma.

36

Z dzisiejszym cierpieniem, bólem serca jutro, tak trudno podążać do przodu To okrutne, że trzeba, lecz trzeba, więc idziemy, to daje nam siłę, by przetrwać Ledwie garstka z nas znajdzie w sobie tę zdolność, by życie w pełni docenić By wyciągnąć wszystko z każdego momentu, z każdego przeżywanego dnia

Życia, które przeżywamy, wszystko, przez co przeszliśmy A przejść musimy tak wiele Nasza odwaga i duch, prawość i determinacja, wola i siła Pomagają nam w trudnych chwilach i prowadzą ku dobru Dwie najważniejsze rzeczy, które nieść musimy aż po kres Nasza miłość i poświęcenie, którymi darzymy świat

Kolejną rzeczą, która podtrzymywała mnie na duchu, były żarty. Zawsze starałam się patrzeć na świat z humorem i optymizmem. Pewnego dnia w szpitalu, podczas rehabilitacji, zaczęłam biegać. Spacerowałam po korytarzu, starając się odzyskać koordynację kończyn. Nagle zaczęłam przyspieszać, iść coraz szybciej i szybciej, w końcu biec. Cóż, trzeba przyznać, że wyglądało to komicznie, kiedy utykałam na lewą nogę, z pełną prędkością, powiewając lewym ramieniem - zbyt słabym, by być skoordynowanym z resztą ciała.

- Patrzcie, patrzcie, ja biegnę! - wrzeszczałam na cały korytarz ku uciesze fizjoterapeuty.

Kiedy mama i Chris przyszli w odwiedziny, pokazałam im, jakie robię postępy. Ponownie zaczęłam biegać wzdłuż całego korytarza, kompletnie pijana ze szczęścia, choć także czując się nieco psotnie. Powodem tego uczucia była mina mojego brata. Patrzył na starszą siostrę biegnącą szaleńczo po korytarzu i, jestem pewna, marzył, by móc

37

zapaść się pod ziemię. Jednocześnie starał się, jak mógł, nie dać tego po sobie poznać. Mało nie upadłam ze śmiechu, tak zabawne były jego starania.

Kiedy po miesiącu zmagania się ze śmiercią w końcu mogłam opuścić szpital, byłam przerażona. Choroba diametralnie odmieniła moje życie. Nie mogłam już robić wielu rzeczy, które robiłam przed pójściem do szpitala, a jednak wewnątrz pozostałam tą samą osobą. Miałam nadzieję, że moi przyjaciele mnie zaakceptują, co dla osoby w moim wieku było bardzo ważne.

Problemem był dla mnie także powrót do domu. Z powodu kłopotów finansowych moja rodzina musiała sprzedać nasz ukochany dom w Devonport. Domek, do którego się przeprowadziliśmy, był, owszem, miły, jednak raczej nudny. Z całą pewnością brakowało mu charakteru naszego starego domu. Pierwsze dni spędziłam, wciąż leżąc w łóżku, odzyskując siły i ciesząc się obecnością mamy i Chrisa.

Niedaleko mieszkał mój szkolny kolega - Julian. Byłam w nim zakochana po uszy i zawsze, kiedy mnie odwiedzał, miałam ochotę schować się pod kołdrę. Nie chciałam, żeby ten wspaniały chłopak widział mnie w łóżku z ogoloną do połowy głową. Jemu to jednak nie przeszkadzało. Był dla mnie bardzo miły - troskliwy i opiekuńczy, a jednocześnie zabawny. Moją najlepszą przyjaciółką była Jolene, w skrócie Jo. Poznałyśmy się w wieku trzech lat i przyjaźnimy do dziś. Przez ten czas wielokrotnie mogłam liczyć na jej przyjaźń i wsparcie.

Dla obojga musiało to być bardzo ciężkie doświadczenie. Jako bardzo młodzi ludzie musieliśmy zmierzyć się z nieznanym, które, choć udało się przez nie przebrnąć, wiele zmieniło. Oznaczało koniec wszelkich zabaw związanych z aktywnością fizyczną, co dawniej bardzo nas do siebie

38

zbliżało. Dlatego bardzo ważne było dla mnie, by ludzie zrozumieli, że mimo zmian fizycznych wewnątrz pozostałam taka sama.

Zaczęłam uczęszczać do Domu Wilsona - centrum rehabilitacyjnego dla osób z urazami głowy. Spotkałam tam mnóstwo dzieciaków z podobnymi problemami. Uczestnicy zajęć nauczyli mnie naprawdę diabelnie dużo. Przede wszystkim stuprocentowej akceptacji dla każdego człowieka, bez względu na jego dolegliwości. Niektórzy z nich praktycznie nie mogli się porozumiewać, ich oczy jednak mówiły zawsze tak wiele. Dzięki nim zrozumiałam, jak wielkie miałam szczęście, zachowując wszystko to, czego nie odebrała mi choroba. Poznanie tych ludzi było dla mnie prawdziwym zaszczytem.

Dzięki tamtym dzieciom udało mi się uporać z kolejnym problemem. Choć guz został usunięty, stan wzroku nieustannie się pogarszał. Moje nerwy wzrokowe wciąż obumierały w wyniku rosnącego ciśnienia w czaszce - pozostałości po nowotworze. Traciłam wzrok i nikt nie mógł na to nic poradzić. Powiedziano mi wprost, że w przeciągu kilku lat utracę wzrok na zawsze. Po raz kolejny pogodziłam się z tym, przynajmniej na potrzeby świata zewnętrznego, jednak w głębi duszy postanowiłam do tego nie dopuścić.

Aby przygotować mnie do niewidomego życia, nauczono mnie pisania na maszynie bez patrzenia na klawiaturę, nie licząc, oczywiście, normalnych lekcji w Domu Wilsona, związanych z programem szkolnym, żebym mogła jak najszybciej wrócić do mojej normalnej szkoły. Uczono mnie także, jak wykorzystać dotyk do rozpoznawania otoczenia. Kazano mi chodzić po korytarzu z rękami na wysokości twarzy i szukać gaśnic przeciwpożarowych. - Nie zrobię tego - zawołałam ze śmiechem, udając, że chodzę po omacku i niezdarne wymachując rękami. -Jeżeli ktoś mnie zobaczy, pomyśli, że oszalałam. Wołę

39

raczej szukać, waląc w nie głową. Szczerze mówiąc, wołę padać co chwilę nieprzytomna, niż dotykać tej przeklętej ściany!

Pogodzenie się z postępującą utratą wzroku przyszło mi o tyle łatwo, że solennie sobie obiecałam, że do tego nie dopuszczę. Innym mogło się to wydawać nieprawdopodobieństwem, ja jednak w głębi duszy wiedziałam, że pewnego dnia odzyskam wzrok. Z całej siły starałam się trzymać tej myśli.

Rozdział 5.

Lisa, która po dwóch latach rehabilitacji wróciła do normalnego życia, dla ludzi z zewnątrz była zupełnie inną osobą.

Kiedy jeszcze uczęszczałam do Domu Wilsona, trzy razy w tygodniu odwiedzałam moją normalną szkołę, aby z powrotem wtopić się w to otoczenie - odświeżyć znajomości oraz stopniowo przyzwyczajając się do powrotu do zwyczajnego życia. Gdy miałam trzynaście lat, ostatecznie zakończyłam zajęcia w Domu Wilsona i na dobre wróciłam do szkoły. Niestety, w tym właśnie okresie przeniosłam się do Liceum Ogólnokształcącego w Takapuna - szkoły o wiele większej od mojego dawnego gimnazjum w Belmont i kompletnie mi nieznannej. Oczywiście, wielu moich dawnych znajomych z gimnazjum również tam poszło, jednak między nami wyrosła pewna bariera. Nie winie ich za to, że dziwnie się czuli w moim towarzystwie, pomimo iż

41

robiłam, co mogłam, by zrozumieli, że wewnątrz jestem tą samą osobą.

Nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć, ponieważ wszystko to było takie niezwykle i straszne, a rak był czymś przerażającym. Dobrze wiedzieli, że uniemożliwił mi zajmowanie się wieloma

rzeczami typowymi dla młodzieży w moim wieku. To stwarzało dystans. Dziwnie wyglądałam, kiedy w klasie nauczyciel pomagał mi w zajęciach, kiedy chodziłam po omacku z powodu pogarszającego się wzroku, wciąż bardzo słaba i niezdolna do zabaw, którym oddawali się moi znajomi.

Jeszcze trudniejsze do zniesienia były zmiany związane z dorastaniem, z przemianą z dziewczynki w kobietę. Miałam wrażenie, że żaden chłopak się mną nie zainteresuje, nie zakocha się we mnie, bo jestem inna. Wiek dorastania jest trudny sam w sobie, wystarczająco wielu rozterek dostarczają zmiany zarówno fizyczne, jak i emocjonalne, bez dodatkowych problemów związanych z niemocą wynikającą z choroby. Z wesołej i dowcipnej dziewczyny zmieniałam się w skrytą i wiecznie przygnębianą nastolatkę, czego w sobie szczerze nienawidziłam. Naprawdę, nie winie innych dzieciaków za to, że nie wiedziały, jak sobie radzić z tą sytuacją. Chciałam nauczyć je akceptacji dla mojej inności, nie przyszło mi to jednak łatwo.

Kilkoro znajomych odwróciło się ode mnie, co sprawiło mi dużą przykrość. Większość jednak zachowywała się w porządku, szczególnie Jo i Julian, którzy podtrzymywali mnie na duchu. Jednak pomimo ich pomocy oraz wsparcia ze strony mojej rodziny, po raz pierwszy w życiu zaczęłam się nad sobą użalać. Pograżyłam się w depresji i przygnębieniu - wciąż płakałam, na nic nie miałam ochoty. Nie sprawiały mi przyjemności ani zakupy ze znajomymi, ani moda, imprezy, taniec, sport czy próby malowania się -rzeczy sprawiające wprost dziką radość każdej trzynastolat-

42

ce. Zamiast tego zamknęłam się w smutnym świecie coraz bardziej pograżającym się w mrokach depresji. Szczerze mówiąc, zaczęłam mieć wątpliwości, czy aby na pewno wszystko ze mną w porządku.

Z bólem serca wspominam dziś tę nastolatkę, zmagającą się z taką liczbą problemów, z całego serca pragnącą akceptacji, jednak tyle razy odrzucaną. Emocjonalnie byłam zmaltretowana i sponiewierana ponad wyobrażenie. Mama, która znała mnie na wylot, z łatwością zorientowała się, że mam depresję. Robiła, co mogła, by mi pomóc, jednak jej starania nie odnosiły rezultatów.

Mój wzrok pogarszał się coraz bardziej, w zasadzie stałam się już niemal niewidoma.

Mroczna mgła powoli wypełniała wszystko, odcinając mnie od świata, jednak, z typowym dla mnie uporem, po prostu nie godziłam się na uznanie mnie za niewidomą. Aby zmniejszyć ciśnienie na nerwy wzrokowe, przeszłam kolejną operację. W mojej głowie umieszczono rurkę prowadzącą z niewielkiej dziurki w czaszce, wzdłuż karku, pod skórą, aż do brzucha. Nawet dzisiaj czuję ją pod skórą, co stanowi dość nieprzyjemne uczucie. Wciąż jednak odprowadza ona płyny z mojego mózgu. Jej wszczepienie było ostatnią próbą, jaką lekarze podjęli w celu stworzenia nerwom warunków do odbudowy i przedłużenia działania mojego wzroku. Próba się nie powiodła.

W tamtym okresie odbyło się specjalne spotkanie z udziałem nauczycieli i uczniów.

- Myślę, że nadszedł czas, aby Lisa nauczyła się alfabetu Braille'a - powiedziała nauczycielka.

- Musi nauczyć się nim posługiwać.

Nikt wprawdzie nie użył słowa „niewidoma”, jednak ta propozycja była wskazówką aż nazbyt wyraźną. Nie po-

43

dobało mi się to. Co gorsza, sugerowało, że utracę wzrok już na zawsze, podczas gdy z całego serca wierzyłam, że stanie się inaczej.

- Nie będę się uczyła Braille'a - powiedziałam stanowczo.

Dopięłam swego, nie zmusili mnie do nauki. Pokazałam, że mimo młodego wieku potrafię być niezłomna.

Moja mama często powtarzała, że lubię robić wszystko po swojemu i trzeba przyznać, że miała całkowitą rację. Nawet dziś nie poddaję się presji otoczenia i nie mam oporów przed powiedzeniem głośno, że coś mi się nie podoba. Moja depresja była jednak przytłaczająca. Nie chciałam pogodzić się z myślą, że mogłabym utracić wzrok na zawsze. Zawsze uważałam możliwość oglądania świata za jeden z nielicznych skarbów, które posiadam. Mama wiedziała, że musi coś zrobić, by wyciągnąć mnie ze stanu smutku i przygnębienia. Nowozelandzka gazeta ogólnokrajowa „Sunday News” przyznała mi zaszczytny tytuł Dziecka Odwagi. Gazeta zrobiła mi też inną wielką przyjemność. Kiedy moja rodzina postanowiła wysłać mnie do Disneylandu, zanim ostatecznie utracę wzrok, redakcja zgodziła się zorganizować dla mnie tę wycieczkę. Odkąd zobaczyłam płytę z piosenkami z „Królowny Śnieżki” oraz pluszowego Kubusia Puchatka, którego dostałam zaraz po operacji, po prostu uwielbiałam wszystkie postaci z filmów Disneya. Byłam wzruszona, kiedy ludzie z „Sunday News” powiedzieli, że pojedę do Disneylandu i, co więcej, opłacą także przejazd mojej mamy. Niestety, redakcji nie było stać na zafundowanie wyjazdu również Chrisowi. Nie mogłyśmy jechać bez niego, więc zorganizowałyśmy zbiórkę pieniędzy. Myśl o wycieczce oraz zbieranie funduszy dla Chrisa wyciągnęły mnie z czarnej depresji, dały cel, na

44

którym mogłam się skoncentrować. Sprzedawałam własnoręcznie zrobione karmelki na stoisku w szkole, zorganizowałam wyprzedaż starych książek i zabawek, robiłam wszystko, żeby zgromadzić pieniądze na bilet dla mojego brata. Gazeta także apelowała o datki i, koniec końców, udało się zebrać potrzebną kwotę.

W noc poprzedzającą wyjazd prawie nie spałam. Zastanawiałam się, jak to będzie, mój brat zresztą też. Lot był cudowny, a kiedy tylko wylądowaliśmy w Kalifornii, natychmiast zakochałam się w tym miejscu. Pierwsza wizyta była iskierką, która rozpałała w moim sercu płonący do dziś płomień miłości do Ameryki. Nie mogłam wyjść z podziwu, jak ciepłymi, otwartymi i pomocnymi ludźmi są Amerykanie. Byli po prostu fantastyczni. Moja sympatia jeszcze wzrosła, kiedy spróbowałam jedzenia. Uwielbiałam Frosties, płatki śniadaniowe, których nie mogliśmy dostać w Nowej Zelandii, oraz zdumiewające lody polaną gorącym karmelem, które rozplływały się w ustach. Nawet dzisiaj wystarczy, że o nich pomyślę, a natychmiast czuję w ustach ich smak.

W samym Disneylandzie skorzystaliśmy dosłownie ze wszystkiego. Kraina Fantazji była niesamowita. Moimi ulubionymi przejażdżkami były Piotruś Pan, Ropuch oraz Alicja w Krainie Czarów. Oczywiście, absolutnie najukochańszy był Kubuś Puchatek. Mama wolała Krainę Przyszłości z wielkim ekranem i witającymi cię robotami z „Gwiezdných Wojen” - R2D2 i C3PO. Zjazd z Góry Plusku był straszny i dziki. Oboje z Chrisem krzyczeliśmy przez całą drogę. Później namówiliśmy na tę przejażdżkę mamę. Krzyczała jeszcze głośniej. Prawie nie widziałam moich ukochanych postaci spacerujących uliczkami podczas występu Shamu, tresowanej orki. Shamu wyskoczył z wody, kiedy na ułamek sekundy ciemna mgła ustąpiła i kąciakiem oka ujrzałam to cudowne

45

stworzenie wirujące w powietrzu niczym czarno-biała wstęga.

- Widziałam Shamu, widziałam Shamu! - krzyknęłam do mamy, która objęła mnie ze wzruszeniem.

Drugim etapem wycieczki były Hawaje. Spędziliśmy tam kilka równie cudownych dni. Było to miejsce wprost idealne do wypoczynku - morze, plaża i żadnych, ale to naprawdę żadnych zmartwień.

Kiedy wróciliśmy do domu, niemal nie byłam w stanie wejść do pokoju z powodu pluszowych zabawek. W mojej walizce praktycznie nie było ubrań. Miałam za to chyba każdą postać, jaka kiedykolwiek pojawiła się w filmach Disneya. Jednak najwspanialszą pamiątką

była dla mnie moneta, którą wygrałam zaraz po wejściu. W dniu naszej wycieczki przypadała akurat rocznica założenia parku i wielu spośród odwiedzających otrzymało pamiątkowe upominki.

Ledwie weszliśmy, jeden z pracowników zbliżył się do nas z przepięknym pudełkiem z niebieskiego aksamitu.

- Moje gratulacje - powiedział, wręczając mi pudełko. Moje serce biło tak mocno, że niemal wyskoczyło z piersi.

Wewnątrz pudełka była piękna złota moneta, którą mam do dziś, i która wciąż jest dla mnie równie cenna, jak wówczas, gdy ją dostałam.

Siedem miesięcy po wycieczce do Disneylandu nastąpił kolejny przyjemny wyjazd. Tym razem pojechaliśmy na święta do Melbourne w Australii, do brata mamy, Davida, i jego żony Liz. Poznałam tam ich dwoje dzieci. Kirsten była młodsza ode mnie o sześć tygodni, zaś Mason dziesięć dni starszy od Chrisa. Świetnie się razem bawiliśmy i naprawdę się do nich przywiązałam. Ze wszystkich dzieci byłam najstarsza, lecz jednocześnie, nad czym mocno ubolewałam, najniższa. Chris, który odziedziczył wzrost

46

po tacie, przerósł mnie już wcześniej, zaś wtedy wyraźnie nade mną górował.

Święta minęły nam w błogiej atmosferze. Pogoda była piękna i wszyscy wspaniale wypoczęliśmy. Niestety, wtedy też zaczęły się moje problemy z odżywianiem, które jednak starannie ukrywałam.

Zapamiętam jednak ten wyjazd z zupełnie innego powodu. Nie pamiętam dokładnie dnia, nie pamiętam chwili, w której się to stało. Być może wyrzuciłam ją na zawsze z mojej pamięci, gdyż stanowiła doświadczenie zbyt bolesne. Mój świat miał być czarny przez następne dziesięć lat.

W wieku lat czternastu ostatecznie utraciłam wzrok.

Rozdział 6.

Po świętach wróciłam do szkoły już jako osoba niewidoma. Nie chciałam jednak używać białej laski, by nikt nie zorientował się, jak straszna zmiana zaszła w moim życiu. Dla wszystkich jednak było to oczywiste. Siedziałam w klasie na lekcji matematyki. Kiedy nauczyciel odczytywał listę obecności, pomyślałam sobie, że poznaję tylu moich znajomych, ale dopóki się nie odezwali, nie zdawałam sobie sprawy z ich obecności. To było dla mnie jak kubeł zimnej wody. Ponownie wpadłam w depresję, tym razem jeszcze głębszą i bardziej czarną.

Nawet najprostsze rzeczy stały się dla mnie bardzo i trudne i to nie z powodu utraty wzroku. Nie dbałam o swój wygląd. Na nic nie miałam ochoty, wciąż się nad sobą użalałam.

Szczególnie zależało mi na zainteresowaniu

49

chłopców, bardzo chciałam zacząć chodzić na randki, jednak nikt mnie nie zapraszał.

Wówczas, choć było to zaledwie dziesięć lat temu, nie istniało zbyt wiele instytucji, w których mogłabym szukać porady na temat życia jako niewidoma. Dzisiaj widzę, że bardzo potrzebowałam wtedy jakichś wskazówek, jednak nie miałam pojęcia, do kogo się w tej sprawie zwrócić. Królewskie Towarzystwo Pomocy Niewidomym Nowej Zelandii skontaktowało się ze mną i dostarczyło pewnych informacji na temat radzenia sobie z problemami często nękającymi niewidomych. Odniosłam się jednak do ich rad niezbyt przychylnie. Wciąż miałam problemy z odżywianiem się, choć dalekie były jeszcze od tych, które miały nastąpić.

Z czasem nauczyłam się maskować uśmiechem cały mój ból i smutek. Wydawało się to skuteczne, przynajmniej sądząc po reakcjach otoczenia. Wyglądałam lepiej, jednak liczne zmartwienia wciąż czaiły się w głębi mojej duszy.

Nauczyciele w Liceum Takapuna traktowali mnie bardzo różnie, podobnie zresztą jak uczniowie. Często radziłam sobie z tym za pomocą solidnej dawki „typowo Liso-wego humoru”.

Dostałam laptopa, który miał pomóc mi w zajęciach. Tuż przed tym, zanim go dostarczono, poszłam do mojego nauczyciela angielskiego, aby uprzedzić, że na następnej lekcji będę posługiwać się komputerem. Wydawał się być zaskoczony, kiedy podeszłam do jego biurka w towarzystwie mojej najlepszej przyjaciółki, więc postanowiłam mu grzecznie przypomnieć, do czego potrzebuję komputera.

- Jestem niewidoma - powiedziałam z uśmiechem.

- Ach... ach tak -zająknął się, zrozumiawszy popełnioną gafę. - To znaczy, że nie widzisz mnie, kiedy siedzę przy biurku?

50

- Nie, oczywiście, że nie - roześmiałam się, bawiąc jego zakłopotaniem i wsłuchując w chichoczące za moimi plecami koleżanki. - Na tym właśnie polega utrata wzroku, proszę pana.

Czasami jednak nie było to aż tak zabawne.

Czytaliśmy „Makbeta”. Każdy z uczniów dostał postać, której partię miał odczytać. Słuchałam ich z przyjemnością, bez żadnych kłopotów ze zrozumieniem, kiedy nagle nauczyciel postanowił wprowadzić pewną zmianę.

- Przed odczytaniem kwestii mówcie, w jaką postać się wcielacie - powiedział.

- Ale, proszę pana, po co mamy to robić? - padło pytanie; nauczyciel zamyślił się na chwilę, szukając odpowiednich słów.

- Po to, hm... aby Lisa mogła lepiej zrozumieć sztukę -słowa, które znalazł, z całą pewnością nie były odpowiednie.

Miałam ochotę zapaść się pod linoleum. Wprawdzie nie mogłam tego widzieć, jednak czułam, że wszyscy się na mnie gapią.

„Mój Boże, wezmą mnie za kompletną analfabetkę”, pomyślałam, płonąć ze wstydu.

Ponad wszystko marzyłam, aby móc żyć normalnym życiem, miałam jednak na to niewielki wpływ. Myślę, że dlatego wpadłam w anoreksję. Nad jedzeniem przynajmniej miałam kontrolę, choć z czasem to ono zaczęło kontrolować mnie.

Udając szczęśliwą, starałam się jak najczęściej spotykać ze znajomymi, wychodzić z nimi, śmiać się i żartować. Dzięki temu jakoś dawałam sobie radę. Uporałam się z depresją, przynajmniej na potrzeby świata zewnętrznego. Na kilka lat.

51

Od czasu pierwszej wizyty bardzo chciałam pojechać znów do Stanów. Kiedy w wieku szesnastu lat przyjaciel mojej rodziny zaproponował, że mnie tam zabierze na trzy tygodnie, wprost nie posiadałam się z radości. Aby móc opłacić mój wyjazd, mama obciążyła hipotekę naszego domu. Byłam bardzo podekscytowana, że znów odwiedzę kraj, który pokochałam od pierwszego wejrzenia. Miałam mnóstwo planów, kiedy wsiadałam na pokład samolotu w Auckland, jednak szybko się okazało, że ten wyjazd miał niewiele wspólnego z wycieczką do Disneylandu.

Choć trochę podróżowaliśmy, większość czasu spędziłam, płacząc w moim pokoju hotelowym. Tęskniłam za mamą i Chrisem, za domem, za wszystkim, co znajome i bezpieczne. Czułam się samotna i opuszczona. To było coś zupełnie innego niż poprzedni wyjazd, zwłaszcza że teraz nie widziałam zupełnie nic. Cóż z tego, że zwiedziliśmy kilka miejsc, skoro wszystkie po prostu minęłam jak robot?

Zęby złagodzić ból, kupowałam wielkie ilości niezdrowego jedzenia. Niewiarygodnie tłuste pizze, chipsy i tym podobne rzeczy... Obżerałam się tym w zaciszu swojego pokoju, dopóki nie zrobiło mi się niedobrze. Nie zmuszałam się jednak jeszcze do wymiotów. Czułam się wyprana z emocji, chciałam zapełnić pustkę jedzeniem. Pomiędzy tymi orgiami obżarstwa

głodziłam się, wyplakując oczy w poduszkę i licząc dni i godziny, które dzieliły mnie od powrotu do Nowej Zelandii. Depresja powróciła i postanowiła zemścić się za lata walki.

T "li

Rozdział 7.

- Mój Boże, Lisa, jesteś chuda jak szkielet. Proszę cię, zjedz coś.

W głosie mojej przyjaciółki zabrzmiała nuta najszczerzej troski, kiedy wkładała mi do ust kawałek ciasta. Zjadłam bez przekonania, jednak jej słowa puściłam mimo uszu. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogę cierpieć na anoreksję, więc pozostawałam głucha na takie uwagi.

Podobnie jak utrata wzroku, anoreksja pożerała mnie bardzo powoli. Jej nagły wybuch został spowodowany przez nieudaną wycieczkę do Stanów. Po powrocie czułam się wewnętrznie wypalona, więc kiedy ktoś zwrócił mi uwagę, że strasznie schudłam, po prostu poprosiłam mamę, żeby mnie zważyła. Okazało się, iż rzeczywiście straciłam ładnych parę kilogramów.

53

„Nieźle”, pomyślałam. „Naprawdę mogę zmienić swój wygląd, a jedyne co muszę zrobić, to przestać jeść”.

Niektórym może wydać się dziwne, że niewidoma dziewczyna, która nawet nie wie, jak wygląda, zapadła na anoreksję. Ta dolegliwość oznacza jednak więcej, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Problem polega na utracie samokontroli oraz na próbach znalezienia tego, czego najbardziej nam brakuje. Ja pragnęłam miłości. Jak się później dowiedziałam, anoreksja czy bulimia są dość typowymi dolegliwościami dla kobiet opuszczonych w dzieciństwie przez ojców.

Chodziłam za mamą jak cień, krok w krok, z pomieszczenia do pomieszczenia. Kiedy wróciłam z tej nieszczęsnej wycieczki, wprost rzuciłam się na nią na lotnisku. Objęłam ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać, zaś jedyne, co byłam w stanie z siebie wykrztusić, to jak bardzo za nią tęskniłam. Ten wyjazd zniszczył całą moją pewność siebie i jedzenie, bądź jego unikanie, stanowiło sposób radzenia sobie z tym problemem.

Ustaliłam sobie pewne reguły jedzenia i ściśle ich przestrzegałam, nawet kiedy niemal umierałam z głodu. Za dopuszczalne uznałam owoce, popcorn i niektóre warzywa. Prażona kukurydza była drobnym ustępstwem na rzecz smaku. Jednak tylko pod warunkiem że nie było na niej żadnego masła, soli ani karmelu. Był to czysty, stary, pocziwy popcorn.

Nieskażony niczym powodującym tycie, a co za tym idzie - nie skażony winą. Wiele osób sądzi, że anorektyczki nienawidzą jedzenia. To nieprawda, wiele z nich wprost je uwielbia i dlatego właśnie boją się, że zaczną jeść bez opamiętania. Tak właśnie było ze mną. Kochałam jedzenie, mogłam jeść i jeść, marzyłam o tym, lecz zwyczajnie nie pozwoliłam sobie na to, zostawiając jedynie wąską furtkę w postaci tych kilku rzeczy.

54

Pewnego razu mama i Chris kupili sobie na kolację pizzę. Niemal płakałam, tak bardzo pragnęłam zjeść choć jeden kawałek. Poczucie smaku sera, szynki i papryki. Zamiast tego jednak ugotowałam sobie brokuły i kalafiora, bez żadnego sosu, masła i tych strasznych kalorii, po czym powoli zjadłam, udając, że mi smakują. W rzeczywistości smakowały jak trociny, jednak po prostu nie było szans, żebym się przełamała i poprosiła o kawałek pizzy.

Dziś problemy z odżywianiem, takie jak anoreksja, są dobrze znane, mówi się o nich, a ludzie są świadomi zagrożeń z nimi związanych, wtedy jednak było inaczej. Oczywiście, mama zauważyła, że moje piersi stają się coraz mniejsze bądź że wkładam workowate ubrania, żeby ukryć, jak chude jest w rzeczywistości moje ciało. Nie wiem dokładnie, jak bardzo schudłam, jednak wystarczająco wiele, by prowokować komentarze, także ze strony niektórych moich koleżanek.

- Lisa, jak ty to robisz, że jesteś taka chuda? - pytały z podziwem. - Czy ty w ogóle nie jesz?

- Dokładnie tak - śmiałam się, jakby to był najlepszy żart na świecie, a nie święta prawda. - Nie jem.

Faktycznie niemal nic nie jadłam i, szczerze mówiąc, uważałam to za powód do dumy, słysząc podobne uwagi. Czułam się silna i pewna siebie. Szok przyszedł dopiero, kiedy przyjaciółka zmusiła mnie do zjedzenia kawałka ciasta czekoladowego.

Wraz z kilkom koleżankami poszłyśmy na obiad do „Wendy” - niewielkiej knajpki niedaleko naszej szkoły. Dziewczyny zamówiły hamburgery z kurczaka, frytki, shake’i i ciasto z polewą karmelową - same pyszności. Ja chciałam pieczone ziemniaki bez tłuszczu i brokuły bez żadnego sera ani masła.

- O nie, nie będziesz jadła tych świństw - zaprotestowały, wrzucając mi na talerz swoje frytki, które zaczęłam niechętnie skubać.

55

?

Właśnie wtedy jedna z nich włożyła mi kawałek ciasta do ust. Zjadłam go, ponieważ wiedziałam, że przyjaciółka naprawdę się martwi i chce dla mnie jak najlepiej. Wciąż jednak nie miałam pojęcia, w co tak naprawdę wpadłam.

W domu moim stałym towarzystwem była Jane Fonda. Mama miała jedną z jej kaset magnetofonowych z instruktażem aerobiku. Ćwiczyłam, słuchając tej kasy tak często, i jak tylko się dało. Po niemal całym dniu spędzonym na tych ćwiczeniach i podskokach czułam ogień płonący w moich mięśniach i wyobrażałam sobie kilogramy nieistniejącego tłuszczu spływające z mojego i tak chudego ciała. Oszałamiałam na tym punkcie, zamęczając się, bez względu na to, jak chora bądź zmęczona bym nie była.

Pozornie czułam się coraz lepiej. Wiedziałam, że chudnę. Aby to zauważyć, wystarczyło przejechać rękami po moim wycieńczonym ciele. Wmawiałam sobie, że powinnam być dumna z tego, jak potrafię nad sobą panować, podczas gdy niektórzy cierpieli z powodu nadwagi, nie będąc w stanie narzucić sobie ścisłej diety. Okłamywałam sama siebie. W głębi duszy czułam się podle, całkowicie pozbawiona nad sobą kontroli i zdesperowana.

„Popatrz, jak świetnie sobie radzisz”, powtarzałam sobie w myślach. „Naprawdę świetnie. Tylko tak dalej, Liso, a zobaczysz, będziesz tak szczupła, że wszyscy będą ci zazdrościć”.

W rzeczywistości marzyłam o jedzeniu, chciałam jakoś

- poprawić sobie humor, więc wmawiałam sobie, że tak i naprawdę nie jestem inna, nie jestem niewidoma. Wciąż udawałam przed znajomymi i rodziną, że wszystko jest w porządku. Uśmiechałam się, żartowałam, wciąż nie zgadzałam się używać białej laski. Uważałam, że wszystko wróci do normy, że wystarczy wmówić sobie, że jest

56

anoreksja była próbą odzyskania kontroli nad moim ciałem, poczucie które utraciłam wraz ze wzrokiem. Niestety, mogłam przestać być gruba, ale nie mogłam przestać być niewidoma. Napisałam wtedy w pamiętniku, co naprawdę czuję. Był to jeden z rzadkich wówczas momentów, kiedy naprawdę się otworzyłam. Na ogół nie miałam wtedy ochoty na pisanie cokolwiek, zwłaszcza że przychodziło mi to z wielkim trudem, gdyż wymagało prowadzenia pióra po papierze zupełnie na wycucie.

Przelewając swój żal na papier, nabazgrałam:

Jestem nieszczęśliwa. Nie lubię siebie i nie lubię swojego ciała, któremu tę niechęć okazuję. Nie cierpię swojego wyglądu. Gdybym tylko mogła być szczupła i atrakcyjna, a nie gruba i brzydka. Moje ciało jest odrażające, przez to jestem taka nieśmiała. Dlatego próbuję schudnąć, ale jest pewien problem. Nie mogę. Rozumiem, że żeby być szczupłą, muszę przestać jeść. Wiem, że nie ma innego wyjścia. A chciałabym, żeby było. Zaczęłam czuć ból,

straszny, nieznośny ból. Mój Boże, jak ja cierpię. To przez moje ciało. Ono chce być karmione, ale to bez znaczenia, nie dopuszczę do tego. Wciąż się staram, a jednak zarówno mój wygląd, jak i moje myśli pozostają takie same. Nie chcę być gruba! Proszę, pomóż mi... Nie trzeba być psychologiem, by zrozumieć, czytając te przepełnione goryczą słowa, że koniec końców coś musiało się stać.

Rozdział 8.

Dłoń Sian jest ciepła i delikatna. Powoli wcieram nawilżający krem w jej smukłe palce. Ostrożnie nimi porusza. Jest tak cicho, że słyszę jej oddech. Sian cierpi na takiego samego guza mózgu jak mój. Mam siedemnaście lat, ona czternaście. Bardzo chcę jej pomóc, ale nic, absolutnie nic nie mogę zrobić. Nowotwór odebrał jej mowę, słuch i niemal kompletnie wzrok. Wkrótce odbierze życie. A jedyne, co mogę zrobić w tej ostatniej chwili, to wmasować krem w dłonie, dzieląc jej niewypowiedziane myśli.

Wspomnienie ostatniej wizyty u Sian zostało ze mną na zawsze. Kiedyś opowiem o niej moim własnym dzieciom. Poznałam ją przez organizację pomagającą cierpiącym na raka nastolatkom. Jej matka zwróciła się do organizacji z prośbą o znalezienie kogoś, kto cierpiał na takiego samego guza i przeżył. Sian nie radziła sobie zbyt dobrze z chorobą.

59

Lekarze twierdzili, że nawet jeśli przeżyje, utraci wzrok tak jak ja.

Mama zawiozła mnie do domu Sian. Usiadłyśmy w jej pokoju i zaczęłyśmy z nią cicho rozmawiać. Spotkanie było dla mnie pewnego rodzaju szokiem. Jakbym spotkała się z sobą sprzed paru lat?

Sian miała kłopoty z mówieniem. Jej słowa były niewyraźne, jednak rozumiałam ją dość dobrze. Była nieco zawstydzona tym, że jej słowa są tak nieudolne, jednak pocieszyłam ją. Ja po operacji mówiłam dokładnie tak samo. Pytała mnie, jak to jest być niewidomą, jak sobie z tym poradzić? Odpowiedziałam to, co powinna była usłyszeć: że to wcale nie takie straszne i że można się przyzwyczaić.

Sian miała piękny, głęboki, promieniujący ciepłem głos i dźwięczny śmiech. Kiedy rak zaczął na dobre pożerać jej mózg, straciła te cudowne cechy, jednak jej duch pozostał silny i niewzruszony wewnątrz konającej cielesnej skorupy.

To, co się działo, wprawiało ją w przerażenie. Wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego to właśnie ją upodobała sobie straszliwa choroba. Frustracja, gniew, smutek -wszystkie te uczucia były mi doskonale znane. Dokładnie tak samo czułam się, walcząc z chorobą. Teraz, przy Sian, wszystko do mnie wróciło, dlatego doskonale wiedziałam, przez co przechodziła. Podobnie jak ja, Sian chciała tylko być normalną nastolatką, chciała spędzać czas ze znajomymi, których jednak odstraszała jej choroba. To straszne, wiedzieć, że ludzie unikają cię, ponieważ nie wiedzą, co powiedzieć, ponieważ boją się, że przypadkiem palną coś głupiego. Tymczasem, zarówno Sian, jak i ja, chciałyśmy jedynie być normalnymi młodymi dziewczynami, ze wszystkimi blaskami i cieniami takiego życia. Tylko nasze ciało chorowało, psychika domagała się normalnego życia. Gdyby tylko nasi znajomi mogli to zrozumieć.

60

Odwiedzałam Sian wielokrotnie, zanim umarła. W dniu jej śmierci byłam w McDonalddie z moim chłopakiem, Joem, ale nie mogłam nic jeść, ponieważ nagle poczułam się bardzo źle. Miałam mdłości, które niemal doprowadziły do wymiotów. Poprosiłam Joego, żeby zawiózł mnie do domu. Był bardzo zaskoczony, trochę nawet zawiedziony moją nagłą zmianą nastroju. Trudno go za to winić, mnie samą bardzo to zdziwiło, zwłaszcza że jeszcze chwilę wcześniej czułam się bardzo dobrze.

Joe był w moim wieku. Wysoki, trochę buntowniczy. Mama go nie znosiła. Mieszkał w Whangarei na Wyspie Północnej. Poznałam go podczas ferii wielkanocnych, dzięki

przyjaciółce, która zakochała się do szaleństwa w kumplu Joego. Chodziłam z nią dla towarzystwa, czasem dla moralnego wsparcia, w efekcie skończyłam jako dziewczyna Joego. Joe palił, pił, czasem palił marihuanę, miał własny samochód, słuchał wspaniałej muzyki i ubierał się w najfajniejsze ciuchy na świecie. Jednak rzeczą, która podobała mi się w nim najbardziej, był jego wzrok. Byłam tak podekscytowana tym, że umawiam się z widzącym chłopakiem... Bez żadnych niedomówień, byłam w nim zadurzona po uszy. Właściwie byłam w nim zakochana, choć to on jako pierwszy wypowiedział te szczególne słowa. Każdy doskonale pamięta swoją pierwszą miłość. Joe był moją. Spotykaliśmy się przez dwa miesiące, przyjeżdżał do mnie z Whangarei, kiedy tylko mógł. Czekałam na niego całym dniami, a każda spędzona razem chwila stukrotnie wynagradzała godziny oczekiwania. Nigdy się nie łudziłam, że będzie to trwało wiecznie. Chyba nikt nie myśli tak o swojej pierwszej miłości. Joe był dla mnie wspaniałą przygodą. Byłam mu bardzo wdzięczna, kiedy odwiózł mnie do domu po naszej randce w McDonalddie. Nie pytał o nic,

61

zresztą i tak nie byłam w stanie mu odpowiedzieć. Kiedy wróciłam do domu, co chwilę wstrząsana mdłościami, zadzwonił telefon. Odebrała mama. Rozmawiała cicho, coraz bardziej zmartwiona.

- Lisa - zaczęła mama łamiącym się głosem. - Dzwonił tata Sian. Obawiam się, że ona nie żyje - tu wybuchła płaczem.

Nie odpowiedziałam. Pobiegłam do mojego pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Padłam na łóżko, szlochając spazmatycznie. Płakałam długo, dłużej, niż sądziłam, że w ogóle jestem w stanie. Sian nie żyła, nie mogłam w to uwierzyć. Co gorsza, miałam świadomość tego, że ja również mogłam umrzeć z powodu mojego guza. I nie umarłam. Czułam się winna.

Zastanawiałam się, dlaczego mnie pozwolono żyć, a Sian nie dano tej szansy.

Poszłam na jej pogrzeb. W kościele zewsząd dobiegał mnie stłumiony płacz i ponure głosy. Czułam się kompletnie odcięta i chorobliwie wręcz odrętwiała. Jak w ogóle mogło do tego dojść?

Sian została skremowana. Jej prochy pochowano na niewielkim skrawku ziemi, na rozległym cmentarzu niedaleko Devonport. Do dziś odwiedzam to miejsce tak często, jak to tylko możliwe. Zawsze mam ze sobą kwiaty, które zostawiam na nagrobku Sian, myśląc o niej. Chciałabym móc wciąż odwiedzać ten cmentarz. Jak najczęściej.

Wkrótce po śmierci Sian, kiedy siedziałam samotna w cichym, pustym domu, napisałam do niej list.

Sian, moja przyjaciółko. Nigdy Cię nie zapomnę. Byłaś dla mnie kimś wyjątkowym. Jestem Ci bardzo wdzięczna za to, że miałam możliwość Cię poznać, że pojawiłaś się w moim życiu. Dałaś mi coś, czego nie mógł mi dać nikt inny. Nasze życie wyglądało tak samo, obie wiedziałyśmy, jak to naprawdę jest. Obie miałyśmy świadomość, że

62

żyjemy w darowanym nam czasie. Kiedy Twój czas się skończył, musiałaś odejść. Obie miałyśmy nadzieję, że ten zegar będzie tykał i tykał. Tylko po co?

Wierzę, że życie stanowi tylko krótką przerwę, zanim nie przeniesiemy się do czegoś lepszego, większego, znacznie silniejszego niż nasze życie. Tam, dokąd odchodzimy, nie ma bólu. Nie czujesz już bólu, Sian, i wreszcie możesz żyć normalnie, tak jak marzę, aby było to możliwe tutaj.

Nigdy nie dano nam jednak tej szansy. Z jakiegoś powodu Ty i ja zostałyśmy poddane próbie, aby nasze życia mogły ulec zmianie. Nasze życia były podobne, ból także. Doświadczyłyśmy podobnej frustracji, płakałyśmy tymi samymi łzami. Nigdy jednak nie zapomnij, że spotkały nas te same, największe na świecie radości.

Sian, dlaczego musiałaś odejść? Powiedziano nam, że przejdziemy przez to razem, ale Ty odeszłaś pierwsza. Nawet pomimo tego że odeszłaś, a bardzo chciałabym, żebyś tu była, jestem bardzo wdzięczna za czas, który mogliśmy spędzić razem. Miałyśmy tak wiele wspólnych cech. Nauczyłaś mnie czegoś niezwykle ważnego. Zawsze wiedziałam, że nigdy nie można być pewnym tego, co przyniesie następny dzień. Dziś wiem, że każdy dzień, choć jedyny i wyjątkowy, będzie pusty, ponieważ się nie spotkamy.

Wciąż myślę o Tobie i o chwilach, które spędziłyśmy razem i obiecuję Ci, że każdy dzień będę przeżywać podwójnie, za Ciebie i za mnie. Musiałaś odejść zbyt wcześnie, Sian, i chcę Ci to jakoś wynagrodzić. Chcę zrobić wszystko, czego Ty zrobić nie zdążyłaś. Myślę, że już zawsze będziesz częścią mojego życia. Zawsze będziesz na mnie czekać tam, gdzie teraz jesteś, ale dopóki się tam nie spotkamy, zrobię, co w mojej mocy, żeby przeżyć jak najwięcej tu, na ziemi.

Kocham Cię, Sian. Dziękuję Ci za to, że byłaś moją przyjaciółką, za chwile, które razem przeżyłyśmy. Obie

63

wiedziałyśmy, że musimy czerpać z życia jak najwięcej. Przez czas, który spędziłyśmy razem, mogliśmy robić to jednocześnie, teraz, kiedy zostałam sama, wiem, że tak naprawdę i Ty jesteś ze mną.

Kocham Cię i pozdrawiam, na zawsze Twoja przyjaciółka

Lisa

Mama Sian dała mi jej zdjęcie. Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiłam po odzyskaniu wzroku, było odszukanie go. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam twarz mojej przyjaciółki. Była śliczną nastolatką z ciemnymi włosami i oczami pełnymi nadziei. Zdjęcie było mocno sfatygowane. Dotykałam go bowiem wiele razy, próbując sobie wyobrazić wygląd mojej przyjaciółki. Pisałam wtedy o niej chwytające za serce wiersze. Kiedy zaś wreszcie mogłam ją zobaczyć, okazało się, że na zdjęciu jest po prostu ona. Dokładnie taka, jak sobie wyobrażałam. Naprawdę piękna.

Wkrótce po śmierci Sian Joe mnie rzucił. To nie przyszło nagle i nie było zupełnie nieoczekiwane. Po prostu przestał do mnie dzwonić, przestał przyjeżdżać. Można powiedzieć, że wyciął mnie ze swojego życia. Czekałam na jego telefony, zastanawiałam się, co się stało, co poszło nie tak, dlaczego Joe już mnie nie kocha? Myślę, że zachowywałam się jak każda nastolatka w takiej sytuacji. Pierwsza miłość na ogół kończy się wraz z pierwszym rozstaniem. A to boli, kiedy jesteś do kogoś tak mocno przywiązana. Boli jak diabli. Płakałam bardzo długo, godzinami siedziałam załamana w swoim pokoju, nie chcąc oglądać nikogo i niczego. Mama pocieszała mnie, mimo iż w rzeczywistości była zadowolona z naszego rozstania. Była jednak na tyle

64

uprzejma, że nie mówiła o tym jeszcze przez długi, długi czas.

- Szczerze mówiąc, nie przepadałam za tym chłopakiem - powiedziała, chcąc mi w ten sposób poprawić humor.

Udało jej się to i nie udało zarazem. Podobało mi się w nim to, że był dzikim, zbuntowanym dzieciakiem. Dzięki temu sama czułam się nieco bardziej interesująca. A poza tym, Joe widział. Za tym tęskniłam najbardziej. Bardzo wiele znaczyło dla mnie to, że wybrał właśnie mnie zamiast innej, widzącej dziewczyny.

Tamten rok nie był jednak taki zły. Zaczął się naprawdę fajnie. Chodziłam na imprezy, upijałam się, czułam się jak wszystkie inne dziewczyny. Czasami piłam zbyt dużo, zdarzało mi się wymiotować bądź budzić z potwornym kacem, ale tak naprawdę dobrze się bawiłam. Okres szkolny mijał mi podobnie jak normalnym nastolatkom. Wciąż cierpiałam na anoreksję, wciąż nie godziłam się na uznawanie mnie za niewidomą, jednak starałam się przynajmniej dobrze bawić, pomimo iż w głębi ducha cierpiałam istne katusze.

Niektóre z tamtych chwil będę pamiętać do końca życia. Na przykład moja wyprawa z grupą przyjaciół na koncert rockowy. Gwiazdą wieczoru był amerykański zespół Guns N' Roses, wówczas moja ulubiona grupa. Niemal bez przerwy słuchałam ich płyt, tańcząc przy tej muzyce jak szalona. Nie było możliwości, żebym przepuściła okazję do zobaczenia ich na żywo. Wszystkie moje koleżanki ubierały się wtedy na czarno i nie byłam żadnym wyjątkiem. Osobiście uważałam, że to podkreśla mrok mieszkający we mnie.

Koncert miał się odbyć w Auckland; wprost nie mogłam się go doczekać. Koleżanki miały siedzenia w sektorze A,

65

tuż pod sceną. Moje miejsce było znacznie oddalone od sceny, jednak udało im się mnie przemycić. Tańczyłam, śpiewałam razem z zespołem wszystkie piosenki, klaskałam... Zachowywałam się jak normalna nastolatka, pomimo iż nie widziałam muzyków na scenie. W połowie koncertu poszłyśmy z koleżanką do toalety. Kiedy wracałyśmy, drogę zastąpił nam ogromny ochroniarz, prosząc o bilety. Moja koleżanka miała wejściówkę do sektora A, natomiast ja nie.

- Ten bilet jest na inny sektor - zagrzmiął ochroniarz. -Nie mogę cię wpuścić.

- Ale ona jest niewidoma, musi wejść razem ze mną -zaprotestowała koleżanka.

Ochroniarz patrzył na mnie przez jakiś czas, po czym postanowił sprawdzić, czy rzeczywiście jestem niewidoma.

- W porządku, jeśli rzeczywiście nie widzisz, chodź do mnie - rozkazał.

Miałam ochotę się roześmiać. Zrobiłam jednak poważną i skupioną minę, po czym niepewnie ruszyłam w jego kierunku. Kilkakrotnie celowo się potknęłam, zboczyłam także nieco z trasy. W rzeczywistości miałam doskonałe wyczucie kierunku i chodziłam bardzo pewnie, musiałam więc udawać, żeby upewnić go w tym, że nie widzę. Udało mi się.

- No dobra, rzeczywiście jesteś ślepa, możesz wejść -powiedział ochroniarz, wpuszczając nas na wymarzony sektor.

Szybko wbiegłyśmy, chichocząc. Bez problemu znalazłyśmy miejsce, w którym stałyśmy wcześniej.

To był wspaniały wieczór. Niestety, musiałam wyjść wcześniej, ponieważ poczułam się źle. Zastąpiłam z głodu. Moja anoreksja posunęła się już tak daleko, że prawie w ogóle nie jadłam. Zaprowadzono mnie do ambulatorium, gdzie pomagano fanom, którzy poczuli się źle. Dano mi

66

wody i polecono posiedzieć chwilę i odpocząć. To była jedyna skaza na idealnym pod innymi względami wieczorze.

Kiedy leżałam w swoim łóżku, wciąż jeszcze słysząc muzykę, zdałam sobie sprawę, że czuję się normalna. Wprawdzie wkrótce czekał mnie ból po śmierci Sian, a także inne smutki i radości, niektóre zresztą miały wielki wpływ na moje życie, jednak tamtej nocy czułam się pełna nadziei na przyszłość.

\

Rozdział 9.

Wielokrotnie pytano mnie, czy gdybym mogła, zmieniłabym cokolwiek w moim życiu. Mogę uczciwie odpowiedzieć, że nie zmieniłabym nic, zupełnie nic. Naprawdę. Ze wszystkiego, co mi się w życiu przydarzyło, mogłam się wiele nauczyć, każde doświadczenie pomogło mi dorosnąć, nawet jeśli samo w sobie było straszne.

Ale jeden moment mojego życia okazał się być tak koszmarny, że doprowadził mnie do samego krańca rozpacz. Kilka miesięcy po śmierci Sian zostałam zgwałcona. Nawet dziś mówienie o tym przychodzi mi z wielkim trudem. Postanowiłam jednak o tym napisać, gdyż myślę, że wiele kobiet przechodziło przez podobny koszmar, a wiele innych może to spotkać. Dlatego też chcę podzielić

się z nimi swoim przeżyciem, bez względu na cierpienie, które się z tym wiąże. Mam nadzieję, że pomogę innym ofiarom gwałtów. Nawet jeśli jednak sprawiam teraz wrażenie silnej i pogodzonej z losem, bardzo wiele kosztuje mnie napisanie tych słów.

Po śmierci Sian bawiłam się i szalałam więcej niż kiedykolwiek. Dla moich znajomych byłam dziewczyną, która uwielbia zabawę i taniec, kochałam wychodzić z nimi. W głębi ducha nawet trochę przesadzałam z szaleństwem, chciałam wykorzystać swoje życie do granic możliwości, bez zastanawiania się nad konsekwencjami. Czasami całowałam się z chłopakami, ale nie było to nic poważnego. Ot, po prostu flirtowałam po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu, jak zdarza się to wielu dziewczętom. Miałam z mamą kilka spięć dotyczących mojego zachowania, ale zawsze w końcu się dogadywałyśmy. Zachowywałam się jak typowa nastolatka: potrafiłam postępować jak kompletna gówniara, tylko po to, aby doprowadzić mamę do wściekłości. Kiedy dziś patrzę wstecz, pojmuję, że wiedziała znacznie więcej, niż sądziłam wtedy, że wie. Była jednak dla mnie dobra i wyrozumiała, otrzymałam od niej wiele cichego wsparcia, bez nadmiernego ingerowania w moje życie, bez nadmiernych zakazów i nakazów.

Fakt, że byłam niewidoma, sprawiał sporo kłopotów, szczególnie jeśli chodzi o mój wygląd. Moi znajomi byli jednak bardzo pomocni. Przed każdą imprezą przyjeżdżali do mnie i pomagali nałożyć makijaż, potem zaś odwozili samochodem na miejsce. Problemem nie był natomiast strój - zawsze czarny. Uwielbiałam czarny kolor. Tamtej nocy miałam na sobie czarną spódnicę, czarny żakiet, rajstopy i buty. Czułam się naprawdę świetnie.

Impreza odbywała się w dużym domu. Było lato, więc pootwieraliśmy wszystkie drzwi, tak że mogliśmy tańczyć

70

i bawić się zarówno wewnątrz, jak i w ogrodzie. Mieliśmy mnóstwo wina i piwa. Naprawdę świetnie się bawiłam. Jakiś starszy chłopak zaczął mnie podrywać. Wiedział, że jestem niewidoma. Czasami ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy, dopóki im o tym nie powiedziałam. Wciąż bowiem nie zgadzałam się na używanie białej laski, uważając, że byłoby to jak noszenie wielkiego znaczka „Jestem niewidoma!”.

Całowałam się z tym chłopakiem, później zaś poszliśmy do ogrodu zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie zastanawiałam się nad tym. Cykady wygrywały romantyczne melodie, czułam zapach świeżych, rozkwitających w nocy kwiatów. Trochę rozmawialiśmy, potem znów zaczęliśmy się całować. Choć chłopak początkowo wydawał mi się w porządku, potem zaczął nalegać, żebyśmy posunęli się dalej. Nie chciałam, ale on nalegał coraz bardziej.

Kiedy zapytał, czy mam ochotę na seks, zamarłam, zmroziło mnie tak, że nie byłam w stanie wykrztusić ani tak, ani nie. Po prostu leżałam, odrętwiała z obrzydzenia, podczas gdy on mnie rozbierał. Nic wprawdzie nie mówiłam, jednak w tak oczywisty sposób nie współpracowałam, że powinien był to zauważyć i przestać. Nie zrobił tego.

Zupełnie nie przejmował się tym, co czułam, po prostu robił ze mną to, na co miał ochotę, na trawie, zaledwie o kilka kroków od domu, w którym bawili się moi przyjaciele. Chciałam ich zawołać, ale wstydziłam się wywoływać zamieszanie. Po prostu uciekłam w głąb siebie, odcinając się kompletnie od tego, co działo się z moim ciałem. To było straszne.

Nienawidziłam ciężaru, który czułam na sobie, nie wiedziałam, dlaczego zostałam tak skrzywdzona. Chciałam uciec, jednak nie byłam w stanie zrobić nic innego, jak tylko modlić się o jak najszybszy

71

koniec. Po wszystkim chłopak bez słowa pomógł mi wstać, po czym zaprowadził z powrotem do domu, ponieważ byłam niewidoma i sama nie dotarłabym.

Czułam się fizycznie skrzywdzona i brudna. Ten chłopak nie próbował mnie przeproszać ani niczego wyjaśniać. Po prostu zostawił mnie i wrócił do swoich znajomych. Pamiętam, że

czułam, iż mam podarte rajstopy, jednak nie powiedziałam o tym nikomu. Nie zachowywałam się jak ktoś, kto właśnie został zgwałcony lub jak ktoś, kogo pokazują po podobnym doświadczeniu w telewizji. Nie wzywałam pomocy, nie padałam w rozpaczy na ziemię. Byłam odrętwiała i czułam mdłości. Cały czas udawałam, że wszystko jest w porządku, że świetnie się bawię. Śmiałam się, tańczyłam, żartowałam... I przez cały czas rozmyślałam o tym, jaka jestem odrażająca, jaka ze mnie szmata, jakie zero, zwykły przedmiot, którego można użyć i wyrzucić. Byłam zdruzgotana tym, co mi się przydarzyło, zamiast jednak nienawidzić tej chwili, nienawidziłam siebie.

Te myśli jeszcze pogarszały moje samopoczucie, sądziłam, że zasłużyłam na to, co mnie spotkało. Nigdy nie powiadomiłam policji, zbyt się wstydziłam. Wiele czasu upłynęło, zanim przyznałam się przed samą sobą, że zostałam zgwałcona. I w dużej mierze udało mi się to dzięki ludziom, do których zwróciłam się o pomoc. Pogodziłam się z tym faktem, jednak było to bardzo trudne. Ilekroć dziś myślę o tym, jak wówczas udawałam, że nic się nie stało, jak kryłam moje straszne przeżycie pod maską zabawy i dobrego samopoczucia, robi mi się przykro. Przykro z powodu tamtej Lisy.

Przez resztę tamtego koszmarnego wieczoru zachowywałam się jak manekin, słuchając odgłosów zabawy i szczęścia, dopóki nie udało mi się ukryć w toalecie. Zwymiotowałam. Wymiotowałam, dopóki jeszcze coś miałam

72

w żołądku. Wymioty miały w najbliższym czasie zacząć odgrywać ogromną rolę w moim życiu. Miały doprowadzić niemal do mojej śmierci.

i

Pomimo moich nieprzyjemnych zamorskich doświadczeń, wciąż uwielbiałam podróże i bardzo chciałam pracować w tej branży. Nową Zelandię odwiedza mnóstwo turystów z całego świata chcących poznać jej dziewiczy krajobraz z wielkim kraterem wulkanicznym Jeziora Taupo oraz pragnących zażyć kąpieli błotnych w Rotorua. Mnóstwo Nowozelandszczyków pracuje w przemyśle turystycznym, jest to w moim kraju powszechne zajęcie. Bardzo podobał mi się pomysł wyjazdu z kraju, odkąd tylko zrozumiałam, że potrafię sobie poradzić w normalnym życiu. Szczególnie chciałam jechać do Ameryki, gdzie naprawdę czułam się bardzo dobrze. Uznałam bowiem, że nie dam się zniechęcić mojej ostatniej wycieczce.

Aby przygotować się do pracy w tej branży, skoncentrowałam się w liceum na matematyce i angielskim, uczęsz-

75

czając na te zajęcia aż do ukończenia szkoły, kiedy miałam osiemnaście lat. Wprawdzie, koniec końców, nie podjęłam pracy w wymarzonej dziedzinie, jednak i tak cieszę się, że chodziłam na te zajęcia, gdyż uważam je za niezwykle potrzebne w życiu oraz za podstawę niemal wszystkich innych nauk.

Mogłam uczyć się tylko dwóch przedmiotów, ponieważ z powodu choroby zaczęłam się bardzo szybko męczyć. I nie było to zwykłe zmęczenie. To było skrajne wyczerpanie, które zmuszało do długiego leżenia i odpoczynku. Dość irytujące było też to, że nie widziałam. Musiałam bez przerwy wyczuwać drogę przed sobą na dotyk, ponieważ niezwykle trudno było chodzić po szkole tylko na słuch. Pomimo to tęskniłam za szkołą.

Chociaż zaczynałam być znowu chora, z oboma przedmiotami radziłam sobie całkiem dobrze, uczestniczyłam nawet w dodatkowych zajęciach z zarządzania domem. Polegały one głównie na nauce gotowania i planowaniu zakupów artykułów spożywczych. Naprawdę lubiłam te zajęcia, co może się wydać nieco dziwne w przypadku anorektyczki z rozwijającą się bulimią. W zmuszaniu się do wymiotów doszłam do takiej wprawy, że potrafiłam to robić bez żadnego hałasu, a nawet bez wpychania sobie palców do gardła. Wystarczyło, że zaczynałam myśleć o wymiotach, a mój organizm sam reagował. Poczucie oczyszczenia po gwałcie, które przynosiły mi wymioty, sprawiało, że czułam się lepiej. W końcu tak się do niego

przyzwyczaiłam, że uczucie jedzenia w żołądku stało się dla mnie bardzo nieprzyjemne. Czułam się spasiona i odrażająca, a jedynym sposobem na pozbycie się tego uczucia było opróżnienie żołądka. W podobny sposób oczyściłam się psychicznie, spychając wspomnienia o gwałcie w najdalszy zakątek pamięci i obiecując sobie nigdy do nich nie wracać. Zresztą, wspomnianie tego,

76

i

kiedy byłam jeszcze tak słaba psychicznie, niechybnie doprowadziłoby mnie do próby samobójstwa.

To niesamowite, jak wielu anorektyków i bulimików gotuje zawodowo lub przynajmniej robi to dla przyjemności. Ze mną było podobnie. Zajęcia z zarządzania domem nauczyły mnie mnóstwo na temat odżywiania, nie odnosiłam jednak tej wiedzy do siebie. Gotowałam prawdziwe wspaniałości i bardzo podobało mi się, kiedy ludzie doceniali moje zdolności. To prawda, że ludzie z zaburzeniami związanymi z odżywianiem mogą być znakomitymi szefami kuchni.

Zajęcia były dla mnie prawdziwymi orgiami obżarstwa, a także szkołą ukrywania swojej choroby. Do perfekcji doszłam w skrywaniu faktu, że większość jedzenia, które tam spożywałam, niemal natychmiast trafiała do toalety. Pewnego razu upiekłam pyszny tort czekoladowy. Postanowiłam zanieść go do domu, jednak jeszcze przed końcem zajęć zapchałam się potężnym kawałkiem. Mamie powiedziałam, że ciasto mi upadło i część musiałam wyrzucić. Wszystko, co zjadłam, natychmiast po kolacji zwróciłam. Wymyślałam najdziwniejsze uzasadnienia, dlaczego brakuje jedzenia, a wszystkie były bardzo przekonujące.

Bardzo dobrze ukrywałam, że zwracam jedzenie. Nikt, naprawdę nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Doskonale nauczyłam się z tym kryć, podczas gdy moja waga spadała i spadała. Choć nie miało to nic wspólnego z rzeczywistością, wciąż czułam się gruba. Nawet niepodważalny dowód w postaci wystających żeber nie był w stanie mnie przekonać. Gdzieś w głębi duszy rozumiałam, że jest ze mną coraz lepiej, jednak był to na razie cichy głosik w mojej głowie, który nie miał najmniejszych szans na usłyszenie. Rozumiałam także, że mam problem. Był to duży krok naprzód, ponieważ już temu nie zaprzeczałam ani nie próbowałam przekonać siebie, że moje zachowanie

77

r

jest zupełnie normalne. Nie miałam jednak bladego pojęcia, jak z tego wybrnąć. Jednak i tak zaczęłam czuć się nieco lepiej, można wręcz powiedzieć, że w moim życiu nastąpił pewien przełom. Mniej więcej w okresie, kiedy ukończyłam szkołę, zaczęłam akceptować swoją utratę wzroku. Zdecydowałam się nawet na używanie białej laski.

Najzwyczajniej w świecie, zaczęłam mieć dość siniaków od ciągłego wpadania na różne przedmioty. Ta decyzja nie przyszła mi łatwo, a także stała się źródłem pewnych problemów, jednak z perspektywy czasu cieszę się z jej podjęcia.

Pierwszego dnia używania laski postanowiłam pojechać autobusem do sklepu monopolowego w Devonport. Kupiłam dwa piwa, wróciłam na przystanek, wsiadłam do powrotnego autobusu, po czym spacerem przeszłam od przystanku aż do naszego podjazdu. Byłam z siebie bardzo dumna. Przez całą drogę ani razu się nie potknęłam, nic nie upuściłam, na nic nie wpadłam. Nie wiem, jak do tego doszło, ale butelki na podjeździe upuściłam na ziemię. Cały podjazd zalany był piwem. W pierwszej chwili ogarnęła mnie wściekłość, ale już za moment śmiałam się z tego zdarzenia. Poradziłam sobie tak dobrze, po czym mój cały wysiłek w jednej chwili poszedł na marne. No cóż, i tak nie miałam tego dnia ochoty na piwo. Kolejnym krokiem w stronę akceptacji swojego stanu był kurs samodzielnego życia dla mieszanej grupy osób widzących i niewidomych. Odbывał się na terenie college'u w

południowym Auckland i oznaczał opuszczenie domu na całe osiemnaście miesięcy. Strasznie się denerwowałam, zwłaszcza z powodu rozłąki z mamą i Chrisem, jednak zdecydowałam się na ukończenie tego kursu. Mama zgadzała się z moją decyzją. Uznałyśmy wspólnie, że nadszedł czas, abym spróbowała życia na własną rękę. Jestem dziś

78

bardzo wdzięczna mojej mamie, gdyż nie wiem, czy zdobyłabym się na ten krok bez jej wsparcia.

Dzieliłam mieszkanie z trzema dziewczynami i trzema chłopakami. Wszyscy byli w moim wieku i mieli problemy ze wzrokiem. Główny organizator kursu był jednym z wykładowców. Uczył nas wielu potrzebnych w życiu umiejętności praktycznych, poruszania się na zewnątrz, a także ogólnej organizacji życia. Mieliśmy także zajęcia z gotowania. Wprawdzie uczyliśmy się na nich na ogół gotowania najprostszych potraw, jednak i tak nauczyłam się na nich mnóstwo na temat zachowania rozsądku i bezpieczeństwa w kuchni. To była dla mnie prawdziwa przyjemność, a zarazem wyzwanie. Wciąż uwielbiałam gotować, jednak dla osoby niewidomej gotowanie wiąże się z wieloma niebezpieczeństwami. Na przykład, jak się zorientować, że woda wrze, nie widząc jej? To nie takie proste. W końcu, jeśli po prostu włożysz rękę do garnka, poparzysz się. Wykładowczyni uczyła nas, jak używać w kuchni innych zmysłów, na przykład słuchu, słysząc bulgotanie. Jestem pewna, że te zajęcia oszczędziły mi w późniejszym życiu kilku poważnych oparzeń i dolegliwości. W gruncie rzeczy, kuchnia może być dla osoby niewidomej miejscem zaiste przerażającym.

Mimo iż kurs mi się podobał, w czasie wakacji pojechałam do domu, do mamy i Chrisa. Kiedy znalazłam się w naszym domku w Devonport, poczułam prawdziwą ulgę.

W tamtym okresie mojego życia miało miejsce bardzo nieprzyjemne zdarzenie, które prześladowuje mnie do dziś. Podczas wakacji spotkałam starszego brata mojej koleżanki. Lubiłam go, więc zaprosiłam do swojego pokoju, mieliśmy słuchać muzyki. Zaczęliśmy się całować, ale on nalegał, żebyśmy posunęli się dalej. Przestraszyłam się. Poczułam się podobnie jak w ogrodzie na imprezie, kiedy zostałam zgwał-

79

cona. Zamarłam, zaczęłam powtarzać w kółko: „Nie, nie, nie!” On jednak nie przestawał, ściągał ze mnie ubranie, ścisnął mnie bardzo mocno. Puścił dopiero, kiedy do drzwi zapukała moja przyjaciółka. Bez słowa poprawił mi ubranie i wyszedł. Kiedy powiedziałam jego siostrze, co się stało, była zaszokowana.

- To przecież usiłowanie gwałtu, Lisa - moja przyjaciółka była wściekła na swojego brata. - Powinnaś była powiedzieć mu, co ci robi.

- Usiłowanie gwałtu? Naprawdę tak sądzisz? - byłam skołowana i odrętwiała. - Nie, to chyba nie było tak, naprawdę.

„Może miała rację”, zaczęłam się zastanawiać. Czułam, że zdecydowanie nie tak to powinno było wyglądać. Znowu byłam zmuszana do czegoś, na co nie miałam ochoty.

Nie wiem, co zaszło potem między nią i jej bratem po tym zdarzeniu, kiedy jednak rozmawiałam z nią jakiś czas później, już nie było mowy o próbie gwałtu. Uważała, że całe zdarzenie nastąpiło z mojej winy. To oznaczało koniec naszej przyjaźni.

Choć biała laska dawała mi niezależność, stanowiła jednocześnie dla innych jasną wskazówkę, że jestem niewidoma. Raz zdarzyło się bardzo nieprzyjemne spotkanie.

Pewnego dnia poszłam do sklepu po chleb i mleko, po czym udałam się w drogę powrotną do domu, kompletnie nieświadoma, że ktoś mnie śledzi. Chwilę po tym, jak weszłam do domu, usłyszałam pukanie do drzwi. Niczego nie podejrzewając, otworzyłam. Męski głos spytał mnie o kobietę, która rzekomo miała mieszkać pod tym adresem.

- Przykro mi, ale nikt o takim nazwisku tu nie mieszka -zapewniłam z uśmiechem, próbując grzecznie zakończyć rozmowę i zamknąć drzwi.

80

- Och, naprawdę? - Mężczyzna wydawał się być zmartwiony. - Czy mógłbym skorzystać z pani telefonu i zadzwonić do niej? - Coś w jego głosie mówiło mi, że powinnam uważać.

- Proszę podać mi numer, sprawdzę to dla pana - chciałam mieć to już za sobą.

Poszłam do telefonu. Dziś, kiedy o tym myślę, zdaję sobie sprawę z tego, że podał mi numer w zupełnie innej części kraju. Najwyraźniej liczył na darmowy telefon. Dodzwonienie się pod ten numer o tej porze dnia było dość drogie.

To, co próbował zrobić później, było jeszcze gorsze. Próbowałam się go pozbyć, kiedy ni stąd, ni zowąd poprosił, bym się odwróciła.

- Wyciągnij ręce, mam coś dla ciebie - postyszałam ochryply szept.

Nieznajomy złapał moje dłonie i przycisnął do swojego krocza. Musiał mieć rozpięte spodnie, ponieważ stracił równowagę, kiedy nagłym szarpnięciem wypchnęłam go za drzwi. Mogę być tylko słabą kobietą, jednak kiedy trzeba, potrafię być bardzo silna. To było tak obrzydliwe, że zatrzasnęłam drzwi, zamknęłam je, po czym ukryłam się, dopóki nie nabrałam pewności, że nieznajomy sobie poszedł.

Kiedy Chris wrócił do domu, byłam roztrzęsiona. Całe zdarzenie sprawiło, że zrozumiałam, jak łatwo mnie skrzywdzić. Na przykład, nie miałam pojęcia, jak napastnik wyglądał i, co za tym idzie, nie mogłam go nikomu opisać. Byłam zła, że postąpiłam tak nieostrożnie.

Jednocześnie przerażała mnie myśl, że ktoś poszedł za mną, widząc białą laskę, wiedząc, że będę łatwym celem.

Chris, kiedy dowiedział się, co się stało, wpadł w furję. Złapał za kij do krykieta, pobiegł do samochodu i zaczął jeździć po ulicach Devonport w poszukiwaniu podejrzanego

81

I

wyglądającego mężczyzny. Nie byłam w stanie opisać napastnika, więc mój brat nie miał pojęcia, kogo tak naprawdę szuka. Po prostu chciał mieć poczucie, że coś robi. Wkrótce do domu wróciła mama. Także ona była zszokowana całym zajściem. Zadzwoniła na policję. Funkcjonariusz, który przyjechał do naszego domu, spisał moje zeznanie i obiecał zająć się sprawą. Nie wiem jednak, czy kiedykolwiek złapano tego człowieka. Szczerze mówiąc, od dawna już o tym nie myślę.

To wstrętne, oszukiwać kogoś niewidomego, wykorzystując jego kalectwo, szczególnie dla seksualnej przyjemności. Takie wydarzenia sprawiły, że przestałam ufać ludziom. Myślę, że miałam wielkie szczęście, iż wreszcie udało mi się znaleźć tę drugą osobę, którą kocham z całego serca i która nigdy mnie nie skrzywdzi ani nie wykorzysta. Znalezienie jej nie było jednak łatwe. Wciąż czekały mnie przejścia z Niewłaściwymi Panami.

Rc iział 11.

Kurs samodzielnego życia w college'u nauczył mnie radzenia sobie w życiu pomimo kalectwa, jednak jeszcze ważniejsza była lekcja miłości, którą pobrałam w naszym mieszkaniu. Moi współlokatorzy byli bardzo mili - przyjacielscy i pomocni, jednak jeden z chłopców stał mi się szczególnie bliski.

Dave niedowidział. Był prawdziwym gentlemanem. Uwielbiałam jego czułość i poczucie humoru. Dość szybko staliśmy się parą. Każdą chwilę spędzaliśmy razem. Całowaliśmy się, trzymaliśmy za ręce, mówiliśmy sobie, jak bardzo się kochamy. To był wspaniały związek, naprawdę wyjątkowy. Byłam z Davem bardzo szczęśliwa.

Co z tego, że miał kłopoty ze wzrokiem? Był wspaniałym człowiekiem i zupełnie nie obchodziło mnie to, że niedowidzi. Dorosłam już i nauczyłam się, że widzący chłopak

83

w niczym nie jest lepszy od niewidomego. Właściwie, nauczyło mnie tego moje życie.

Mieliśmy do siebie wielkie zaufanie, rozmawialiśmy niemal o wszystkim. Dave był ze mną bardzo szczery. Starłam się tylko ukryć swoje problemy z jedzeniem, o wszystkim innym

natychmiast mówiłam temu wspaniałemu i czarującemu facetowi. Miał niezwykle czułe serce, był we mnie zakochany po uszy, ja w nim zresztą też.

Myszę, że z wielkim trudem przyszło mu przyznanie się do tego, że zdradził mnie z naszą współlokatorką. Wprawdzie był to jedynie jednorazowy poryw, którego bardzo żałował i obiecywał, że się już więcej nie powtórzy. Chciałam nawet dać mu jeszcze jedną szansę, jednak nie byłam w stanie mu wybaczyć, absolutnie nie. Czułam, że nie potrafię ponownie mu zaufać. Nasz dawniej bardzo szczęśliwy związek legł w gruzach. Przeplakałam wiele nocy myśląc o Dave'ie. Wciąż doskonale pamiętam, jak leżałam na podłodze łazienki, łkając jak dziecko. Nie mogłam znieść myśli, że już go nie ma, a jednocześnie nie byłam w stanie ponownie go zaakceptować po tym, co mi zrobił.

To doświadczenie także dla niego było bardzo przykre. Było też dla niego dość dziwne, ponieważ sądził, że znów będziemy razem pomimo wszystko. Nie był w stanie znieść całej tej sytuacji i postanowił wrócić do domu, na Wyspie Południowej.

Kiedy odzyskałam wzrok, Dave skontaktował się ze mną. Bardzo ucieszyło go moje szczęście, i ja ucieszyłam się, słysząc jego głos w słuchawce po tylu latach. Do dziś uważam go za swojego przyjaciela, pomimo krzywdy, jaką mi wyrządził. Zresztą, nie mam już do niego żalu. Jest bardzo miłym facetem i życzę mu jak najlepiej. Wiem, że kiedyś uczyni jakąś kobietę niezwykle szczęśliwą. Wiem

84

także, że wyciągnął wnioski ze swoich błędów, tak samo jak ja.

Pomimo całego bólu, którego doznałam w tamtym okresie, nie załamalam się. Wydawało się, że zdrada i rozstanie będą kroplami, które przepełnią czarę cierpienia, jednak stało się inaczej. Zrozumiałam, że skoro jest już w moim życiu tak źle, w przyszłości może być tylko lepiej. Wierzyłam, że anioł, który opiekuje się mną z posłannictwa Boga, dał mi siłę potrzebną, by zrozumieć, że potrzebuję pomocy w rozwiązaniu moich problemów. Nauczyłam się także dostrzegać pozytywy i wyciągać wnioski ze wszystkich złych doświadczeń życiowych. Wierzę, że wszystkie kolejne koszmary uczyniły mnie silniejszą. Zrozumienie tego było przełomowym momentem mojego życia.

Ferie w październiku 1995 r. spędziłam w domu. Na kilka tygodni wszystkie kłopoty związane z mieszkaniem zostały po drugiej stronie miasta. Czułam, że miłość mamy i Chrisa otacza mnie ze wszystkich stron. Zdawałam sobie sprawę z tego, jak bardzo im na mnie zależy, choć uważałam, że nie jestem tego warta. To najlepszy dowód na to, jak nisko się ceniłam.

Zrozumiałam, jak bardzo ich kocham, i że nie chcę ich opuszczać. Byłam wówczas tak słaba i niedożywiona, że niemal nie mogłam chodzić. „Muszę coś ze sobą zrobić”, myślałam. „Muszę się jakoś pozbierać, wreszcie musi mi się udać”. Byłam poważnie chora, chuda jak najprawdziwszy szkielet. Mogłam policzyć zębra, po prostu przesuwając po nich palcem. Moje biodra również boleśnie wystawały. Ubierałam się w zbyt obszerne, wręcz workowate ciuchy, żeby ukryć, jak jestem wychudzona i przezroczysta, a jednak w głębi duszy wciąż czułam się gruba.

85

I

Wymiotowałam piętnaście razy dziennie. To mnie wyczerpywało, moje gardło było bez przerwy zaciśnięte, zaś dziąsła spuchnięte. Gdybym znalazła się w miejscu, gdzie nie miałabym dostępu do toalety i możliwości zwracania, umarłabym z głodu, odmawiając sobie jakiegokolwiek jedzenia. Moja waga spadła z 55 do 40 kg i spadała każdego dnia.

Kiedy po feriach wróciłam do mieszkania w college'u, postanowiłam zwrócić się do kogoś o pomoc. Zadzwoiłam do dr Cathy Miller, mojej kochanej lekarki, i umówiłam się z nią na piątek, 13 października 1995 r. Czułam dziwną mieszanekę dumy i nerwów. W końcu miałam się przed kimś przyznać do tego, co działo się ze mną od tak dawna. Wstałam tego dnia

wcześnie rano, po czym pojechałam pociągiem do przychodni w Devonport, w której pracowała

Cathy.

Mama, odbierając mnie ze stacji, myślała, że jadę na zwykłe, rutynowe badania. Aby się nie denerwować, nie wyprowadziłam jej z błędu. Już w gabinecie Cathy kazała mi położyć się na łóżku, po czym zaczęła przeprowadzać standardowe badania moich odruchów. Myślę, że doskonale wiedziała, że nie chodzi o mój wzrok ani o mojego guza, zanim jeszcze podałam prawdziwą przyczynę mojego przyścia. Wystarczyło spojrzenie, by zauważyć, jak bardzo byłam wyniszczona. Leżałam tam, czując, jak uderza, badając moje odruchy... Przymknęłam oczy i pograżyłam się we własnych myślach, walcząc ze sobą.

Nie powiem jej. Będę udawała, że chodzi o mój mózg, nie o jedzenie. Nie mogę jej powiedzieć. Prawda? Nie, powinnam się przyznać, dla mamy i Chrisa. Ale co, jeśli coś pójdzie nie tak? Pomocy. Co robić? Dobry Boże, pomóż mi, pomóż wybrać właściwie. Pomóż mi, mój aniele.

Dość zaskakująco, nawet dla siebie samej, powiedziałam Cathy o wszystkim. Nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczęłam opowiadać, z najdrobniejszymi szczegółami. Opowiadałam o tym, co się ze mną działo, o tym, jak ukrywałam swoje problemy przed otoczeniem, jak próbowałam przestać i jak mi się to nie udawało.

- Tylko nie mów nikomu, proszę - wyszeptalam. Łzy płynęły mi po policzkach, czułam, jak Cathy mnie tuli. Utonęłam w jej ramionach, czując się bezpiecznie jak nigdy. - Czy mama musi o tym wiedzieć?

- Wszystko będzie dobrze - uspokajała Cathy. - Wyjdiesz z tego.

Pierwsze badanie prowadziło do dalszych, znacznie bardziej szczegółowych. Cathy zważyła mnie, zmierzyła ciśnienie. Zrobiła mi badanie krwi. Postanowiłyśmy powiedzieć mamie, kiedy już będziemy miały wszystkie wyniki. Wróciłam do mieszkania. Cathy zadzwoniła następnego dnia. To była sobota, teoretycznie Cathy nie pracowała.

- Masz bardzo niski poziom potasu - jej głos był poważnie zaniepokojony. - Musisz natychmiast iść do szpitala, jesteś poważnie chora.

Bałam się hospitalizacji. Nie byłam jeszcze gotowa na to, żeby wszyscy dowiedzieli się o moich problemach. Błagałam Cathy, żeby pozwoliła mi zgłosić się do szpitala dopiero w poniedziałek. Z niechęcią przystała na moją prośbę, ale wiedziałam doskonale, że ani trochę jej się to nie podobało.

- Obiecuję, że nie będę wymiotować - powiedziałam na pożegnanie.

Szczerze w to wierzyłam. Oczywiście, wymiotowałam. Wiele razy. Nie byłam w stanie przestać. Aby jakoś się usprawiedliwić, brałam kupione w aptece tabletki z potasem. Naiwnie sądziłam, że mi to pomoże.

86

87

Cathy dzwoniła wielokrotnie w ciągu tego weekendu. Potem powiedziała mi, że sprawdzała, czy jeszcze żyję. W poniedziałek zmusiła mnie do poddania się kolejnemu badaniu krwi.

Poziom potasu był jeszcze niższy. Moje niedożywienie sprawiło, że mogłam umrzeć.

Gdybym nie poszła do szpitala, zmuszając się do wymiotów, zabiłabym się w przeciągu tygodnia. Byłam na krawędzi życia, po raz kolejny.

- Jeśli nie pójdziesz, jeśli nie zmuszę cię, żebyś poszła, nigdy sobie tego nie wybaczę - głos Cathy po odczytaniu wyników był pełen już nawet nie troski, ale autentycznego przerażenia. - Nie dopuszczę do tego, Liso! Musisz iść do szpitala i musisz iść tam natychmiast!

Nie mogłam się dłużej opierać. Zgodziłam się na hospitalizację.

Rozdział 12.

Kiedy tylko zgodziłam się pójść do szpitala, Cathy pojechała odebrać mamę z pracy w dziale obuwniczym wielkiego supermarketu. Chris przyjechał zabrać mnie z mieszkania. Już nigdy tam nie wróciłam.

Kiedy usiadłam obok mojego wielkiego „małego braciszka”, poczułam, że wreszcie nadszedł czas, żeby się otworzyć.

- Co ci tak naprawdę dolega? - zapytał, ściskając jedną z moich dłoni z delikatnością, o którą trudno było podejrzewać jego ogromne niedźwiedzie łapy.

Opowiedziałam, często przerywając płaczem, o mojej anoreksji, o bulimii, o tym, jak uważałam, że wszyscy mnie nienawidzą i obwiniają.

- Hej, nic się nie stało - cichy głos Chrisa działał uspokajająco. - Nikt cię o nic nie obwinia.

Wszystko

89

będzie dobrze. Poradzimy sobie z tym, bez względu na to, jak dużo czasu nam to zajmie.

Cathy po drodze do szpitala opowiedziała wszystko mamie. Kiedy więc tylko się zobaczyłyśmy, po prostu objęła mnie i pocałowała. Nieważne, ile masz lat, zawsze będziesz potrzebować swojej mamy w takiej chwili. Nawet dziś, kiedy jestem dorosła, mam czasami ochotę ukryć się w jej objęciach przed całym światem.

Mama i Chris pojechali ze mną do szpitala Północnego Wybrzeża, gdzie zostałam przyjęta na czteroosobowy oddział. Przez cztery długie dni leżałam podłączona do kroplówki, z której sączył się w moje niedożywione ciało potas. Nie miałam okazji, by wymiotować, ponieważ cały czas byłam przywiązana do kroplówki. Dzięki temu też podczas każdego posiłku coś jadłam, fakt, że niewiele, parę ziaren fasoli czy trochę marchewki. Z jednej strony, czułam ulgę, z drugiej, bałam się, że ktoś zacznie zmuszać mnie do jedzenia. To była moja główna obawa przed pójściem do szpitala, z której zwierzyłam się Cathy, kiedy namawiała mnie na hospitalizację.

- Co będzie, jeśli dojdą do wniosku, że sama nie jestem w stanie nic zjeść, więc trzeba karmić mnie siłą? - zapytałam przerażona tą myślą. - Ja nie mogę jeść, nawet jeśli chcę!

- Nie bój się - zapewniała mnie Cathy. - Nikt nie będzie cię do niczego zmuszał.

Pomimo tych obaw, wiedziałam, że trafiłam we właściwe miejsce, że tu mogą się uporać z moim koszmarem. Już pierwszej nocy napisałam w moim pamiętniku pożegnanie dla moich problemów z odżywianiem. Siedziałam na łóżku, pisząc tak szybko, jak się dało, co nie było takie proste z powodu kroplówki.

Właśnie odchodzi. I to odchodzi na dobre. Nie będzie już więcej bólu, będę się czuła coraz lepiej i lepiej. Lisa będzie żyła.

90

Wyobrażałam sobie chorobę opuszczającą moje ciało, żegnającą się ze mną i przepraszającą za wszystkie krzywdy, których doznałam. Myślę, że różnica pomiędzy utratą wzroku a bulimią i anoreksją była taka, że szczerze wierzyłam, iż utrata wzroku jest tylko chwilowa, że prędzej czy później znów będę widzieć. Nie byłam sobie natomiast w stanie wyobrazić ucieczki od bulimii, dlatego też, kiedy już znalazłam się w szpitalu, czułam, jakby ktoś zdjął mi z pleców ogromny ciężar. Pisałam w swoim pamiętniku słowa pożegnania, które wypowiadała moja anoreksja:

Przepraszam, Mała. Traktowałam Cię naprawdę źle. Bez przerwy byłaś smutna, płakałaś... Z mojego powodu. Cierpiałas przeze mnie, mam tego świadomość. Przepraszam, naprawdę przepraszam.

Odkąd tylko miałam nad Tobą kontrolę, nie przyniosłam Ci niczego innego niż ból.

Oszukałam Cię na samym początku, myślałaś, że jestem Twoją przyjaciółką. A kiedy już to ja stawiałam warunki, dostałaś to, na co sądziłaś, że zasługujesz: ból, łzy, gniew, nienawiść.

Uważałam je za dobre, ponieważ dawały mi kontrolę nad Tobą, pozwalały czuć się silną.

Pozwalały żyć.

Wiem, Mała, że nie zasłużyłaś na nic z tego, co Ci dałam. To ja kłamałam, ja traktowałam Cię tak źle, jak tylko potrafiłam. Nigdy nie pozwolę Ci żyć. Kiedy tylko zobaczyłam, jak cierpisz, natychmiast przysłałam, pozbawiając Cię szansy samodzielnego uporania się z problemami. Nigdy Cię nie słuchałam, Lisa. Teraz zrozumiałam, że nie jestem dla Ciebie właściwym towarzystwem, i że powinnam odejść. Na zawsze.

Przykro mi. Bardzo chciałam zostać. Bardzo Cię lubię, ale masz przeze mnie same kłopoty. Odbieram Ci życie, więc muszę odejść. Nie mogę dłużej tak Cię krzywdzić, zbyt długo byłam okrutna, a ponieważ Cię lubię, odejdę.

91

Nasz związek był oparty na nienawiści i miłości. Szczerze Cię nienawidziłam, chciałam, żebyś nie zaznała w swoim życiu niczego oprócz bólu. Im większy ból Ci zadawałam, tym większy chciałam zadać. Ale później zrobiło mi się Ciebie żal- Zapragnęłam, żeby Ci było dobrze, Poradziłam Ci, żebyś zaczęła jeść. Dużo, jak najwięcej... A później znów zadawałam Ci ból, krzywdziłam najdotkliwiej, jak mogłam.

Odchodzę, Liso. Zegnaj. Pokochaj siebie, bo naprawdę na to zasługujesz.

Zmagałam się ze wszystkich sił z dręczącymi mnie problemami: utratą wzroku, rakiem, wszystkimi skrzętnie ukrywanymi lękami, jednak z typowym dla mnie uporem postanowiłam, że poradzę sobie z nimi sama. Czułam w sobie wielką siłę, kiedy tak siedziałam na łóżku, ściskając w kościstej dłoni długopis, próbując zapisać swoje uciekające myśli i nie będąc w stanie tego zrobić. Wyglądałam prawie jak szkielet, jednak tej właśnie nocy poczułam, że chcę z tego wyjść. Że pragnę tego bardziej niż cegokolwiek na świecie.

Szpital w Auckland specjalizuje się w leczeniu anoreksji i bulimii. Stamtąd też przyjechał do mnie zespół specjalistów. Natychmiast po tym, jak przyjechali, zorganizowali terapię grupową z udziałem mojej rodziny.

Starałam się pomóc, ponieważ dojrzałam już do tego, by, przynajmniej częściowo, opowiedzieć o swoich problemach. Jednak wkrótce przekonałam się, że takie sesje traktowane są jak coś w rodzaju nagrody za przybieranie na wadze, co ani trochę mi się nie podobało. Wiele razy zdarzało się, że przyjeżdżałam na spotkanie, stawiałam na wadze, po czym dowiadywałam się, że ponieważ nie przytyłam, mam jechać do domu. To było naprawdę frustrujące

92

I

doświadczenie i mam nadzieję, że już się tego nie stosuje. To sprawiało, że upadałam na duchu, ponieważ starałam się przytyć, jadłam, ale jednocześnie potrzebowałam tych spotkań, bo chciałam komuś opowiedzieć o swoich problemach, i to naprawdę pomagało w leczeniu. W końcu po prostu przestałam przychodzić, zdążyłam jednak wziąć udział w kilkunastu sesjach. W niektórych uczestniczył mój tata.

Ojciec nie widział mnie, odkąd byłam dzieckiem i mój wygląd naprawdę go zszokował. Nie wiedział, że jestem tak bardzo chora i tak bliska śmierci. Kiedy przyszła jego kolej, próbował wytłumaczyć, dlaczego odszedł. Jego słowa były dla mnie bez sensu. Trzeba jednak przyznać, że wreszcie trafiła mi się okazja do powiedzenia mu prosto w oczy, jak bardzo mnie skrzywdził, zostawiając rodzinę. Powiedziałam, że jedynym moim marzeniem było stać się na powrót jego małą dziewczynką. Odpowiedział, że nie miał o tym pojęcia, więc to nie jego wina. Byłam wściekła i wyrzuciłam wtedy z siebie wiele słów, które siedziały we mnie od dawna, nie poczułam się jednak dzięki temu wiele lepiej. Później, jakieś dwa lata temu, zerwałam kontakty z ojcem. Nie było to przyjemne, jednak uznałam, że tak będzie lepiej. Dziś trudno powiedzieć, jak będą wyglądały nasze stosunki w przyszłości.

Po kilku miesiącach terapii grupowej zaczęłam spotykać się z lekarzem indywidualnie, ponieważ łatwiej było mi się zwierzać. Opowiadałam o naprawdę ciężkich przeżyciach i zauważyłam, że mniej boli, kiedy mówię

O swoich problemach lekarzowi, a nie ukochanej rodzinie. Na te zwierzenia musiał przyjść właściwy moment

I właśnie nadszedł. Tamte spotkania dały mi bardzo wiele. Wreszcie zrozumiałam, że nie ponoszę winy za wiele rzeczy, którymi torturowałam się od bardzo dawna. Jeszcze mocniej poczułam też, że zarówno sam Bóg,

93

jak i mój anioł stróż roztaczają nade mną opiekę. Już wkrótce miałam ją poznać.

Kolejnym źródłem wielkiej ulgi stała się dla mnie homeopatia. Mama usłyszała o świetnej homeopatce. Elsha, bo tak miała na imię, mieszkała w Devonport. Zdziałała dla mnie prawdziwe cuda. Lekarstwa, które dostawałam, miały rozwiązywać konkretne, stopniowo pojawiające się problemy i rzeczywiście pomagały. Jestem jej niezmiernie wdzięczna za ogromne wsparcie. Pozwoliło mi przetrwać niezwykle trudny czas, kiedy próbowałam znaleźć alternatywne metody leczenia anoreksji. Chciałam, żeby traktowano mnie jak Lisę, osobę cierpiącą na anoreksję, a nie anorektyczkę o imieniu Lisa, jak to mieli w zwyczaju pracownicy szpitala. Homeopatia miała tę zaletę, że pozwalała jednocześnie uporać się z rozsadzającymi mnie emocjami: gniewem, desperacją, tęsknotą. Stanowiła lekarstwo na problemy wewnętrzne, a jednocześnie rozwiązywała je w delikatny, terapeutyczny sposób. W tamtym okresie zaczęłam zapisywać w pamiętniku swoje posiłki. Dziś, kiedy to czytam, nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Z precyzją, której nie powstydziliby się aptekarz, zapisywałam wszystko, co zjadłam, a kiedy okazywało się, że miałam dobry dzień, pękałam z dumy. Porcje, które wtedy jadłam, mogą się wydawać maleńkie, jednak dla mnie były czasami wręcz olbrzymie:

Wtorek: Hej, jestem dziś z siebie dumna. Spisałam się świetnie. Bardzo się cieszę, że tak szybko odzyskuję wagę. Nic nie jest w stanie mnie powstrzymać. No dobra, ludzie, oto, co dzisiaj zjadłam i, naprawdę, było tego dużo:

Śniadanie - dietetyczny jogurt. Obiad - nektaryna i kawałek ananasa. Kolacja - sałata, pomidor, cztery grzyby, buraczki, majonez, sól i pieprz. Przekąska - popcorn.

94

K

Następnego dnia poklepałam się po plecach za zwalczanie ochoty na odchudzanie, mimo iż posiłki, które jadłam, były śmiesznie małe. Mimo wszystko było to więcej, niż jadłam wcześniej:

Środa: No cóż, dzisiaj jadłam, więc chyba radzę sobie nie najgorzej. Mam wrażenie, że jem tylko tyle, ile potrzebuję do przeżycia, ale i tak chyba mogę być dumna. Przynajmniej nie mam ochoty się odchudzać.

Śniadanie - dietetyczny jogurt. Obiad - sałatka owocowa. Kolacja - sałatka.

Jedzenie znów zaczęło sprawiać mi przyjemność. Wreszcie przestałam czuć się z tego powodu winna.

Jedzenie jest najmiłą rzeczą na świecie. Jestem teraz swoją własną przyjaciółką, wręcz uwielbiam się. Lubię dostarczać jedzenia swojemu ciału. Jedzenie sprawia mi przyjemność, a jednocześnie uważam, że robię dokładnie to, co powinnam. Muszę karmić swoje ciało i będę to robić. Muszę być ze sobą szczerą, nie mogę się oszukiwać, że zasługuję na coś innego. Kocham swoje ciało. Już nigdy, przenigdy nie będę patrzeć wstecz na swoje życie.

Mamę i Chrisa połączył w tamtym okresie wspólny cel - wspierać mnie w walce z chorobą. Nie mogło istnieć lepsze lekarstwo. Bardzo się o mnie niepokoiili, a jednocześnie robili wszystko, żebym wytrzymała i wyszła z kłopotów. To musiało być dla mamy straszne. Patrzyła, jak jej córka prawie umiera na raka, traci wzrok, niemal głodzi się na śmierć. Dzięki niej, nawet kiedy ogarniały mnie najczarniejsze myśli, miałam świadomość, że jest na świecie osoba, która mnie kocha. Podobnie było z Chrisem. Jestem im bezgranicznie wdzięczna.

95

Kiedy tylko zaczęłam czuć się lepiej, napisałam na jej cześć prawdziwy hołd w moim pamiętniku. Opisałam w nim, jak bardzo ją kocham i jak wiele jej zawdzięczam, podziękowałam za pomoc w każdej sytuacji i opiekę:

Moja mama jest wyjątkowa, najlepsza na świecie. Teraz, kiedy czuję się lepiej, puściła w niepamięć wszystko to, co było wcześniej, wszystkie kłamstwa, które mówiłam jej prosto w twarz. Teraz wie o nich wszystkich, jednak zamknęła za nimi drzwi, raz na zawsze. Mama mówi, że to nie były kłamstwa, że po prostu musiała nadejść odpowiednia chwila, żeby o nich powiedzieć. Zrozumiała to i wie, że musiałam zrobić to dla siebie. Chciała, żebym nauczyła się myśleć także o sobie. Powiedziała, że powinnam wymazać z pamięci wszystko, co zrobiłam komukolwiek, jeśli dzięki temu zrobiłam coś, co pomogło mnie. Mama mówi, że musiałam przejść przez to wszystko, aby dotrzeć tam, gdzie jestem teraz. Mimo wszystko czuję się winna, ponieważ sprawiłam mojej rodzinie tyle bólu. Choć wreszcie czują ulgę, gdyż jest ze mną coraz lepiej.

Dziękuję Ci, Mamo. Kocham Cię.

Ból, który jej zadałam, był dla mnie męką. Pomimo tego jednak, miały jeszcze nadejść czasy, kiedy mama cierpiała przez mnie, a jednak przeszła przez nie silna i pomocna. Zawsze ze mną, ilekroć tylko jej potrzebowałam.

O!; i .".■•"

góra: Już w wieku czterech miesięcy byłam jasnoookim rudzielcem.

dół, po lewej: Ubrana w najnowszy krzyk mody. Dwulatka w zrobionej na szydełku sukience.

dół, po prawej: Pierwsza szkolna fotografia w wieku pięciu lat.

\

■>: .-

>Ł

Widzący i zakochani - Rob i ja razem.

Rozdział 13.

Na pocztówce widać piękną plażę, z białym piaskiem i kryształową, lazururową wodą. Na odwrocie moje typowe, nieczytelne bazgroły:

Kochani Mamo i Chris,

Wprost nie mogę uwierzyć, że jestem teraz w Australii! Jest fantastycznie! Mieszkam w schronisku młodzieżowym w Sydney i bawię się naprawdę cudownie. Bardzo za wami tęsknię. Trzymajcie się, do zobaczenia za sześć tygodni.

Pozdrawiam Lisa

Podczas kursu samodzielnego życia poznałam dwie wspaniałe Angielki- Vicki i Melissę. Miały najwspanialszy akcent, jaki słyszałam w życiu. Mogłam ich słuchać całymi

97

godzinami. Były bardzo sympatyczne i świetnie się dogadywałyśmy. Obie ukończyły właśnie szkołę średnią i przed pójściem na uniwersytet postanowiły zrobić sobie rok przerwy w nauce. Dlatego wzięły udział w programie, w ramach którego młodzi ludzie z Anglii wyjeżdżają na rok za granicę. Vicki i Melissa trafiły do Nowej Zelandii, gdzie pracowały w college'u, w którym odbywał się kurs. Do ich obowiązków należało sprzątanie w mieszkaniu, które zajmowałam. Dzięki temu miałyśmy okazję się poznać.

Nowe koleżanki były w moim wieku. Miały naprawdę szalone poczucie humoru. Fakt, że byłam niewidoma, nie miał dla nich żadnego znaczenia. Szybko stałyśmy się dobrymi koleżankami i spędzałyśmy razem mnóstwo czasu.

Utrzymywałyśmy kontakt, nawet kiedy przerwałam kurs z powodu choroby i rehabilitacji.

Uwielbiałam z nimi rozmawiać, ich żarty i śmiech zawsze poprawiały mi humor. Kiedy dowiedziałam się, że jadą do Australii, zapragnęłam pojechać z nimi. Ta decyzja wymagała ode mnie odwagi. Przez prawie rok próbowałam się pozbierać, każdy kolejny dzień był dla

mnie wyzwaniem. Zapisywałam w pamiętniku wszystko, co jadłam, przyjmowałam leki homeopatyczne, odpoczywałam, spotykałam się z psychologiem... Powoli dochodziłam do siebie.

Mama i Chris byli dla mnie tak dobrzy i cierpliwi. Nigdy nie będę w stanie się im odwdziżyć. Kiedy dziś patrzę na mamę, widzę, że pojawiło się u niej kilka siwych włosów. Jestem pewna, że większość z nich to moja wina. Jeden włos za każde zmartwienie, którego przysporzyłam. Myślę, że się ucieszyła, kiedy powiedziałam, że chcę wyjechać razem z Vicki i Melissą.

Podczas tych wakacji nie rozstawałam się ze swoim pamiętnikiem. Dziewczyny rysowały w nim śmieszne komiksy i pisały, że mnie uwielbiają. Kiedy odzyskałam wzrok, wreszcie mogłam obejrzeć ich dzieła. Niemal po-

98

plakałam się ze śmiechu. Od tej pory, kiedy tylko mam gorszy dzień, otwieram pamiętnik i humor natychmiast mi się poprawia.

Pojechaliśmy na trzy tygodnie do Sydney. Z plecakami wyglądałyśmy jak najzwyklejsi młodzi ludzie, podróżujący i cieszący się życiem. Mieszkałyśmy w schroniskach młodzieżowych w dzielnicy czerwonych latarni King's Cross. Odwiedziłyśmy tam kilka sklepów, do których nie powinnyśmy były wchodzić. Bawiłyśmy się wspaniale, mogłyśmy żyć zupełnie inaczej niż w domu. Upijałyśmy się winem i piwem, chodziłyśmy do nocnych klubów, gdzie tańczyłyśmy, dopóki byłyśmy w stanie utrzymać się na nogach. Całe noce gadałyśmy z poznanymi w schronisku ludźmi, podczas gdy inni mieszkańcy nakazywali nam się zamknąć.

Jednym z naszych ulubionych miejsc było Palm Beach. Kupiłam tam mnóstwo fajnych rzeczy: czarną jedwabną koszulę, krótką błękitną sukienkę, która, jak mi powiedziano, podkreślała kolor moich oczu, oraz świetny kubek, ozdobę mojej kolekcji kubków. Zrobiłyśmy sobie także wycieczkę w Góry Błękitne. Czasami jechałyśmy autobusem, dużą część jednak pokonałyśmy na piechotę.

Podczas tych wakacji naprawdę dużo jadłam, z czego byłam strasznie dumna. Wciąż zapisywałam sobie w pamiętniku wszystko, co zjadłam, choć już nie codziennie. Robiłam to od czasu do czasu, żeby pokazać sobie, jak dobrze mi idzie. Pisałam wtedy o każdym zjedzonym ciastku, każdym shake'u, każdym hamburgerze... Ze wszystkich byłam bardzo dumna i wszystkie mi bardzo smakowały. Kiedy je zjadałam, nie próbowałam zwracać. Dzięki temu czułam się coraz silniejsza. To chyba najcenniejsza rzecz, którą dały mi te wakacje.

Na tym polega prawdziwa niezależność. Biorę za siebie pełną odpowiedzialność i wiem, że cokolwiek się stanie,

99

będzie tylko moją winą. Sama się pilnuję, stawiam czoła wyzwaniom samodzielności, a najfajniejsze jest to, że sobie radzę. Ta świadomość sprawia, że czuję się świetnie. Sama o sobie decyduję, to naprawdę piękne. Aby przeżyć, emocjonalnie, nie potrzebuję nikogo, wystarczę sobie sama. Ilekroć napotykam jakieś przeszkody, wiem, że jakiegokolwiek by nie były, jestem w stanie sobie z nimi poradzić bez niczyjej pomocy. Przejdę przez wszystko, wierna sobie. Jestem wojownikiem, ale przede wszystkim jestem zwycięzcą. Wygrałam wojnę z anoreksją i pozostałam silna. Trzymam głowę wysoko, dumna ze zwycięstwa. Podczas tych wakacji nie czułam się jak osoba niewidoma i, co ważniejsze, nie byłam tak traktowana. Tę pewność dały mi komiksy Melissy i Vicky. Nie robisz takich rzeczy człowiekowi, którego uważasz za upośledzonego. Byłyśmy po prostu koleżankami. Wiedziałam, że mogę robić to, na co mam ochotę i że jestem dość silna i niezależna, by poradzić sobie z samodzielnym życiem. Tamte wakacje w lipcu 1997 r., kiedy miałam dwadzieścia lat, stanowiły niezbitą dowód.

Vicky i Melissa wróciły do Anglii, jednak do dziś utrzymujemy kontakt. Kiedy dowiedziały się, że odzyskałam wzrok, zareagowały z typowym dla siebie entuzjazmem. Wprost nie posiadały się ze wzruszenia. Wciąż są dla mnie świetnymi koleżankami i bardzo się cieszę, że do dziś stanowią część mojego życia.

Z Sydney nie wróciłam prosto do domu. Pojechałam do Brisbane, odwiedzić cioteczkę Liz, wujka Dave'a i moich kuzynów - Masona i Kirsten. Spotkałam się z nimi po raz pierwszy, odkąd ostatecznie straciłam wzrok. Bardzo miło wspominałam tę wizytę, było mi u nich bardzo dobrze. Szczególnie ciepło wspominałam Kirsten, która stała się dla

100

mnie bardziej przyjaciółką niż kuzynką. Zabrali mnie do wielu wspaniałych miejsc, jak Kraina Filmu, Kraina Marzeń czy przepiękne plaże.

W głębi ducha jednak głęboko zastanawiałam się nad swoim życiem. Zaczynałam snuć plany na przyszłość. Pewnego dnia zadzwoniłam do Australijskiej Fundacji Pomocy Niewidomym z prośbą, aby przysłali do mnie kogoś, kto skierowałby mnie do najbliższego hipermarketu. Chciałam dojść tam bez pomocy innych ludzi.

Do dziś uważam dzień, który spędziłam wówczas na zakupach za jeden z najpiękniejszych w moim życiu. Spacerowałam po głównej ulicy Brisbane, chodziłam po sklepach, kupowałam drobne upominki dla mamy i Chrisa. Ten dzień stanowił w moim życiu pewien przełom. Zaczęłam w inny sposób patrzeć na siebie i na swoją przyszłość. Chciałam poczuć się jeszcze bardziej niezależna. Móc żyć całkiem samodzielnie, bez konieczności dzwonienia po pomoc, ilekroć chciałam gdzieś pójść. Najlepszym rozwiązaniem tego problemu było wzięcie psa--przewodnika.

Już wcześniej myślałam wielokrotnie o psie-przewodniku, wiele osób też mi to doradzało. Jednakże, podobnie jak było w przypadku białej laski, nie chciałam mieć czegoś, co podkreślałoby moje kalectwo. Odkładałam to i odkładałam, jednak w końcu stało się to konieczne.

Pies-przewodnik stanowi dla niewidomego wielką pomoc, ale i odpowiedzialność. Moja rodzina nigdy nie miała psa, więc opieka nad zwierzęciem była dla mnie całkowicie nowym doświadczeniem. Jednak dni, które spędziłam w Brisbane, upajając się wolnością i siłą niezależności, przekonały mnie o konieczności tego przedsięwzięcia. Kiedy więc po trzech tygodniach popłynęłam do Auckland, oznajmiłam rodzinie radosną nowinę. Mamie i Chrisowi bardzo spodobał się mój pomysł. Myślę, że wiedzieli, iż dojrzałam do tej decyzji. Widzieli też, że czuję się coraz lepiej, nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Nadszedł w moim życiu czas, kiedy mogłam zaakceptować psiego przewodnika i znaleźć dla niego miejsce w sercu. W ten sposób w moim życiu pojawiła się ukochana Ami.

Rozdział 14.

Czuję, jak coś się do mnie zbliża. Chwilę później coś miękkiego ociera się o moją nogę. Sierść mnie łaskocze, słyszę cichy oddech. Pochylam się i dotykam sporej, gładkiej głowy pokrytej jedwabistą sierścią. Czuję język liżący moje palce. Ciepło promieniuje od tej istoty, która ni stąd, ni zowąd weszła w moje życie.

Poznajcie Ami. Wita mnie, jakbym była jej mamą, stworzyłyśmy zespół, którego nikt i nic nie rozdzieli. Tak właśnie poznałam Ami. Psy-przewodnicy bywają czasem nieco nieufne, kiedy zaraz po szkoleniu poznają nową osobę. Z Ami jednak tak nie było. Niemal słyszałam, jak mówi na powitanie: „Cześć, jestem Ami, a ty jesteś moją nową mamą. Od pierwszego wejrzenia się w tobie zakochałam, więc zabierz mnie do domu”. Jest najbardziej przyjacielskim stworzeniem na świecie, zupełnie jak ja. Moja mama często mówi, że

103

zachowujemy się identycznie. Ami jest moim maleństwem i strasznie ją kocham.

Miałam dwadzieścia jeden lat, kiedy pojawiła się w moim życiu. We wrześniu 1997 r. poszłam na pierwsze spotkanie w sprawie psa. Aby znaleźć mi jak najlepszego przewodnika,

pytano o mnóstwo szczegółów. Ruchliwość, wzrost, moja ochota na spacer, osobowość - wszystko to miało wielkie znaczenie. Bardzo trudno dopasować psa i właściciela i często trwa to bardzo długo.

W grudniu odebrałam telefon - znaleziono idealnego psa dla mnie. Ami. Miałam wielkie szczęście, że nastąpiło to w tak krótkim czasie. Jestem pewna, że byłyśmy sobie przeznaczone. Potrzebowałam przyjaznego, towarzyskiego psa, właśnie Ami. Jest całkowicie oddana ludziom, szczególnie dzieciom. To mieszaniec labradora z psem myśliwskim. Jej maść nosi nazwę srebrnej, mimo iż w rzeczywistości jest biała. W niektórych miejscach jest popielata, w innych miodowa. Moje kochanie ma zawsze szminkę na łebku, ponieważ co chwilę go całuję. To jej znak firmowy.

Królewskie Towarzystwo Pomocy Niewidomym w Nowej Zelandii szkoli zwierzęta, które następnie pomagają niewidomym. Szczenięta z każdego miotu wabią się na tę samą literę. Wszyscy „bracia i siostry” Ami wabili się na A. Wydaje mi się, że szczeniaki z obecnego miotu wabią się już na H. Trening zaczyna się w okresie szcenięcym i trwa nawet po znalezieniu psu właściciela. W przypadku Ami, Towarzystwo opłaca także rachunki za jedzenie i opiekę weterynaryjną. Szkolenie zaczyna się bardzo wcześnie i jest niezwykle intensywne. Zwierzętami zajmują się specjaliści treserzy, którzy się z nimi nie rozstają i uczą podstawowych rzeczy. Psy szkoli się do tego stopnia, że nie mogą wyjść się załatwić, dopóki nie powie się im, że można, w innym wypadku bowiem

104

' mogłoby to sprawiać kłopoty niewidomemu właścicielowi. Zwłaszcza, gdyby pies zrobił coś takiego w centrum handlowym lub supermarkecie.

Kiedy psy nieco podrosną, zaczyna się właściwa tresura. Uczy się je prowadzenia niewidomego, pomagania przy zakładaniu obroży oraz innych zachowań wymaganych od psa-przewodnika. Tresura pojedynczego zwierzęcia jest bardzo kosztowna. Na ogół zajmują się tym organizacje charytatywne. Wykorzystują w tym celu pieniądze ofiarowane im podczas rozmaitych akcji i zbiórek.

Pierwsze trzy tygodnie wspólnego mieszkania z Ami zajęło nam wzajemne obwąchiwanie się. W tym czasie bez reszty się w sobie zakochałyśmy. Podobnym uczuciem zapalała do niej mama i Chris. Była tak słodka, zawsze wesola, że opieka nad nią stanowiła przyjemność. Wkrótce przyzwyczaiałam się do jej stałej obecności. Później, pod okiem tresera, uczyłam się chodzenia z nią oraz znaczenia poszczególnych komend. Czasami zaufanie do psa, wiara, że nie wprowadzi cię na ruchliwą ulicę bądź że nie pogoni za kotem przychodzi z trudem, jednak wyrobiłam je sobie dość szybko. Również Ami musiała przyzwycząić się do mnie. Dostałam ją, kiedy miała osiemnaście miesięcy i, muszę powiedzieć uczciwie, była dla mnie najprawdziwszym wyzwoleniem. Okazało się, że mogę pójść, dokąd tylko zapragnę i robić mnóstwo rzeczy, na które wcześniej nie mogłam sobie pozwolić. Pies dał mi możliwość szybkiego przemieszczania się z miejsca na miejsce - coś, na czym tak bardzo mi zależało. Ami uwielbia jeść. Karmiłam ją suchą i puszkowaną psią karmą, jak zalecił jej treser. Jednak kiedy miała dwadzieścia miesięcy, zaledwie po dwóch miesiącach, odkąd ją dostałam, stało się coś strasznego. Ami zachorowała. To nie

105

była jakaś drobnostka, moje maleństwo wyglądało naprawdę strasznie. Bez przerwy miała biegunkę lub wymiotowała. Schudła tak bardzo, że nie mogła mnie prowadzić. Bez przerwy leżała, wyczerpana i zniszczona przez chorobę. Byłam zdruzgotana.

Weterynarz, do którego poszliśmy, zbadał ją bardzo dokładnie, jednak nie był w stanie dojść, co jest nie tak. Trzeba było sięgnąć po drastyczne środki. Ami dostała narkozę, po czym zbadano jej wnętrzności wziernikiem. Wiadomości były fatalne, Ami umierała. Cierpiała na niezwykle ciężki przypadek zapalenia jelita. Całe wnętrzności musiały ją nieprawdopodobnie

boleć. Jej stan był bliski śmierci, można było sobie z nim poradzić jedynie dzięki lekom i specjalnej, bardzo drogiej diecie - wszystko to pod warunkiem że pies w ogóle przeżyje. Siadałam przy niej, głaszcząc po głowie i modląc się o jej życie.

- No, Ami, jesteś częścią mnie, nie pozwolisz, żeby cię to pokonało - szeptałam do niej. - Tak się boję, maleńka. Nie chcę, żebyś odeszła zaraz po tym, jak pojawiłaś się w moim życiu.

Wytrzymaj, Ami, wiem, że potrafisz.

I potrafiła. Powoli dochodziła do zdrowia, jednak jej przyszłość jako psa-przewodnika stanęła pod wielkim znakiem zapytania.

- Mogę wpisać panią na listę oczekujących na psa -grzecznie powiedziała kobieta w siedzibie Towarzystwa. - Dla Ami spróbowalibyśmy znaleźć widzącego właściciela.

Pokręciłam głową. Jak mogli szukać dla mnie następnego idealnego psa, skoro już go znaleźli? Przywiązałam się do niej i nie mogłabym jej już oddać. Nawet jeśli nie miała być już dłużej moim przewodnikiem, wciąż była członkiem rodziny. Tak też odpowiedziałam kobiecie z Towarzystwa.

106

Opieka nad chorym psem nie jest łatwa, zwłaszcza jeśli polega to na karmieniu go wielkimi ilościami pigułek, ale Ami połykała wszystkie bez słowa skargi. Nawet nie próbowała ich wypluć, ani razu. Dzięki temu zdrowiała. Przełałam na nią całą miłość, jaką nosiłam w sercu, miałam nadzieję, że to jej pomoże. I rzeczywiście, stopniowo Ami odzyskała dawną formę.

Po dwóch latach można było odstawić pigułki. Trzeba ją karmić specjalnym amerykańskim jedzeniem przeznaczonym dla psów w podobnym stanie. Karma jest dość droga, jednak warta każdego wydawanego na nią centa. Zresztą, rachunki pokrywa Królewskie Towarzystwo Pomocy Niewidomym. Dieta utrzymuje Ami w dobrej kondycji, dzięki czemu jest pełna wigoru. Bawi się i pracuje jak normalny pies.

Kiedy odzyskałam wzrok, zaczęłam się obawiać, że moje kochanie zostanie mi odebrane, w świetle prawa bowiem wciąż jest własnością Towarzystwa. Doszli jednak do wniosku, że po tak długim czasie pies zdążył się przywiązać na tyle, że nieludzkie byłoby rozrywanie powstałej więzi. Zresztą, wciąż mam pewne problemy ze wzrokiem. Dzięki Ami jest mi łatwiej. Stanowimy zespół, a przecież nie dzieli się zespołu. Faktem jest też, że nigdy już nie będzie zupełnie zdrowa, więc dawanie jej komu innemu na niewiele by się zdało. To była dla mnie wielka ulga.

Pomimo tego mam wielki żal do ludzi z Towarzystwa. Kiedy odzyskałam wzrok, poproszono mnie o udział w jednej z ich kampanii. Miałam udzielać wywiadów mediom, jednak się nie zgodziłam. To była trudna decyzja. Zbieranie pieniędzy na szkolenie psich przewodników to wspaniały pomysł i z przyjemnością wzięłabym w tym udział. Miałam jednak zatargi z samym Towarzystwem. Poczulałam się dotknięta, kiedy nikt nie zadzwonił ani nie napisał, gdy

107

odzyskałam wzrok. Ich zachowanie można skwitować słowami „o, znowu może widzieć, i co z tego?”. Tak to przynajmniej odebrałam. Ostatni raz miałam do czynienia z członkiem Towarzystwa (pomijając ludzi zajmujących się psimi przewodnikami), kiedy ni stąd, ni zowąd przyszedł zabrać komputer, który dali mi swego czasu do pomocy w nauce. Było mi bardzo przykro, jednak pogodziłam się z takim postępowaniem.

Rozdział 14.

W ciągu roku spędzonego razem nabrałam do Ami wielkiego zaufania. Byłyśmy nierozłączne. Pływałyśmy promem z Devonport do centrum, chodziłyśmy na zakupy, na gimnastykę. Po prostu wszędzie. Ami szczególnie upodobała sobie przejażdżki promem, wprost uwielbiała jego kołysanie.

W każdej chwili czułam, że mnie kocha. Ludzie często mówią, że Ami jest uśmiechniętym psem. Wyczuwałam to, zanim jeszcze mogłam przekonać się na własne oczy. Dziś uwielbiam wpatrywać się w jej uśmiechnięty pysk.

Byłam niezmordowana. Potrzebowałam własnej przestrzeni, własnego miejsca, w którym mogłabym się urządzać, spotykać z przyjaciółmi czy grać, nie przeszkadzając nikomu. Mama była zadowolona, ale i nieco smutna, kiedy powiedziałam jej, że chcę się wyprowadzić. Był marzec 1999 r.

109

i czułam, że ten czas wreszcie nadszedł, po latach smutków, ale i dorastania.

Mama pomagała mi w poszukiwaniach. Przeglądała dla mnie rubrykę ogłoszeń w lokalnej gazecie. Kiedy dzwoniłam, musiałam mówić, że mam psa. To zawsze był pewien problem. Kiedy jednak wyjaśniałam, że to pies-przewodnik, na ogół rozmówcy stawali się miłsi. W końcu wynajęłam śliczne dwupokojowe mieszkanie w Devonport, niedaleko domu rodzinnego, jednak nie dość blisko, żeby mogła odczuwać brak niezależności.

Mieszkanie było małe, naprawdę, nic olśniewającego, ale miało jedną zaletę - było moje. Stało się domem dla mnie i dla Ami. Miałam trochę mebli, które dostałam od mamy, mnóstwo ubrań i rzeczy osobistych zbieranych przez całe życie. Byłam bardzo podekscytowana i pełna nadziei. Wkrótce po wprowadzeniu się i urządzeniu, zrobiłam kolejny wielki krok ku niezależności. Znalazłam pracę.

Zawsze wybucham śmiechem, kiedy mówię ludziom, czym się zajmowałam. Znalazłam pracę w ciemni w szpitalu Północnego Wybrzeża. Idealna praca dla niewidomej, nie uważacie? Zajmowałam się zdjęciami rentgenowskimi i ultradźwiękowymi. Obsługiwałam maszynę wywołującą, która musiała pracować w absolutnej ciemności. W szpitalu w Auckland już dwóch niewidomych pracowało w ciemniach i świetnie się to sprawdzało. Kiedy więc dyrekcja szpitala Północnego Wybrzeża poszukiwała pracownika do ciemni, skontaktowała się z Królewskim Towarzystwem Pomocy Niewidomym.

Poszłam na rozmowę i, mimo iż nie miałam żadnego doświadczenia w takiej pracy, przyjęli mnie. Pracowałam pięć dni w tygodniu, od 9.00 do 14.30. Koniec końców, codzienna rutyna stała się dla mnie męcząca. Cierpiałam na straszne migreny. Czasami po prostu zalewała mnie fala

110

bólu i niemal rzucała mną o podłogę. Na ogół wstępem było właśnie zmęczenie. Ostatecznie więc musiałam zmniejszyć liczbę dni pracy, najpierw do czterech, później do trzech w tygodniu.

Kiedy dostałam pierwszą wypłatę, zabrałam Ami do Takapuna - najbliższego centrum handlowego. Kupiłam sobie kilka boskich ciuchów. Uwielbiam ubrania, zawsze uwielbiałam. To była dla mnie prawdziwa ulga po latach oszczędzania pieniędzy z renty inwalidzkiej.

Ludzie, z którymi pracowałam, trochę mnie na początku przerażali, jednak poznałam tam kilku prawdziwych przyjaciół. Mel obsługiwała aparat rentgenowski, więc poznałyśmy się bardzo szybko. Stała się dla mnie źródłem wsparcia i ciepła. Chodziłyśmy razem na pizzę i godzinami gadałyśmy. Do dziś jest dla mnie bardzo ważna. Będzie zresztą jedną z moich druhen podczas ślubu, który zamierzam wziąć w przyszłym roku z mężczyzną moich marzeń. Ale nie sprzedajmy faktów. Wówczas wreszcie poczułam, że stanęłam na własnych nogach i śmiało patrzyłam w przyszłość.

Mogłam się była spodziewać, że wkrótce wpadnę na coś, co sprawi mi ból. Osobom niewidomym zdarza się to bez przerwy. Tym razem wpadłam na mężczyznę imieniem Steven. Ból sprawił mi nie tyle nawet on sam, co nasz związek, który miał ogromny wpływ na moje późniejsze życie.

Wchodziłam właśnie z Ami do Centrum Handlowego Takapuna, kiedy znajomy głos zawołał nas z zaparkowanego nieopodal samochodu. Wielu ludzi wołało do nas, w związku z czym nauczyłam się rozpoznawać ich głosy, zwłaszcza jeżeli robili to regularnie. Myślę, że powodem był nasz wygląd. Nieczęsto spotyka się młodą, modnie ubraną dziewczynę z burzą rudych włosów, szerokim

111

\l

uśmiechem i psem-przewodnikiem. Ami miała własnych znajomych, szczególnie wśród dzieciaków, którzy siłą rzeczy rozmawiali także ze mną. Jednym z nich był mężczyzna, który zawsze pytał, jak się czuję i uprzejmie ze mną gawędził. Byłam mile zaskoczona, kiedy poznałam jego głos wołający mnie z samochodu.

- Cześć, jak się masz - wydawał się być naprawdę sympatyczny. - Chciałem zapytać, czy nie umówiłabyś się ze mną kiedyś na kawę?

Zastanowiłam się przez chwilę, po czym zaproponowałam, żeby do mnie zadzwonił.

Miał na imię Steven. Na początku dobrze się rozumieliśmy, wydawało się, że naprawdę mamy ze sobą wiele wspólnego. Zapytałam znajomych, jak wygląda, żeby przekonać się, czy jest tak przystojny, jak sobie wyobrażałam. Dowiedziałam się, że jest wysoki, dość dobrze zbudowany, o ciemnych włosach i miłym uśmiechu. Spędzaliśmy ze sobą dużo czasu i początkowo było nam dobrze, wkrótce jednak stało się jasne, że nic z tego nie będzie. Oboje mieliśmy zbyt dużo własnych problemów. Wiele się jednak w tym związku nauczyliśmy i cieszę się, że przez to przeszłam, gdyż stałam się silniejsza. Nie chcę się nad naszym związkiem zbyt długo rozwodzić, zwłaszcza że wreszcie znalazłam tę jedyną, właściwą osobę.

Mniej więcej w tamtym okresie ponownie zaczęło mnie straszyć widmo raka. Mój guz mózgu został wyleczony, a regularne badania wypadły pomyślnie. To był zupełnie inny nowotwór. Został wykryty podczas standardowego badania piersi. Musiałam poddać się operacji. Tym razem jednak do usunięcia guza użyto lasera.

Byłam wstrząśnięta. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek w życiu będę miała do czynienia z nowotworem złośliwym. Czułam się zdruzgotana, zaś mój nieudany związek ze Stevenem dopełniał czary goryczy.

112

Zaczęłam ograniczać posiłki, a z czasem w ogóle unikać jedzenia. Miało mi to pomóc w uporaniu się z problemami, które spadły na moją głowę. Zrozumiałam, że koszmar anoreksji wraca. Znalazłam więc inne wyjście z kłopotów -rozstanie ze Stevenem, to jednak nie było proste. Myślę, że musiałam przejść przez ten związek do końca, wyciągnąć wszystkie wnioski z tego bolesnego doświadczenia. Dlatego też ciągnęłam to jeszcze przez pół roku.

Wystarczająco długo, by stało się coś, co odmieniło moje życie na zawsze.

Pierwsze oznaki były bardzo subtelne - delikatny ból piersi i lekkie mdłości. To chyba nie... To niemożliwe, prawda? Owszem, zdarzało się, że nie używaliśmy prezerwatywy, jednak, jak sądziłam, nigdy w moje płodne dni. W głębi duszy wiedziałam jednak, że jestem w ciąży, mimo iż nie chciałam się do tego przyznać sama przed sobą. Zdarzało się, że nie mogłam pojawić się w pracy przez kilka dni, ponieważ ból głowy był zbyt silny. Zrozumiałam, że ciąża była jednym z powodów mojego ciągłego zmęczenia.

Nawiasem mówiąc, sądziłam, że nie mogę mieć dzieci. Kiedy bowiem wycinano mi guza mózgu, pojawiło się zagrożenie, że utracę także część mózgu produkującą hormony potrzebne podczas okresu dojrzewania. Z jakiegoś powodu sądziłam, że oznacza to, iż nie mogę mieć dzieci, nawet jeśli okres dojrzewania przeszłam zupełnie normalnie. Moje ciało wielokrotnie udawadniało innym, że jest zdolne do rzeczy, o które by go nie podejrzewali. Tym razem jednak udowodniło to mnie. Z całą pewnością byłam w ciąży.

Rozdział 16.

Kochany pamiętniku,

Od siedmiu i pół tygodnia jestem w ciąży, a mojemu dziecku nic, jak do tej pory, nie dolega. Jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby stwierdzić coś więcej. Doktor powiedział, że w ciemnym płynie widać małą białą kropkę i że to właśnie jest moje dziecko. Ma własny puls małego serduszka, które, jak na razie, radzi sobie świetnie. Ponadto plamka ma małe wypustki, z których w przyszłości wyrosną rączki i nóżki.

Kiedy to piszę, śmieję się. Jednak jednocześnie płaczę, ponieważ, oczywiście, nie mogę mieć tego dziecka. Próbowałam sobie wmówić, że tak będzie dla wszystkich najlepiej. Gdzieś w głębi jednak odzywa się głos serca. Mam przeczucie, że nawet jeśli usunę dziecko, nie będę z tego powodu szczęśliwa, może nawet odbędzie się to bez mojej zgody.

115

Otrzymałam mały, ale niezwykle cenny dar, który żyje wewnątrz mnie i wierzę z całego serca, że to cudowny dar od samego Boga. Będę modlić się ze wszystkich sił za moje dziecko. Wierzę, że Bóg czuwa nad Tobą, podobnie jak od urodzenia opiekuje się mną. Modłę się, aby chciał, bym urodziła to dziecko. Kocham Cię, moje Maleństwo, niech Bóg ma Cię w swojej opiece.

Ciąża została potwierdzona przez mojego lekarza rodzinnego. Cathy Miller zrezygnowała już z tej pracy. Zastąpiła ją Sarah Burnett, również wspaniała kobieta. Nikomu nie powiedziałam o swoich obawach. Po prostu poszłam się przebadać. Sarah zrobiła mi test, po czym powiedziała to, o czym w głębi duszy doskonale wiedziałam.

- Przykro mi, ale jesteś w ciąży, Liso - oznajmiła, wiedząc, że z całego serca pragnęłam innego wyniku.

Byłam w szoku, bliska ośpienia. Co miałam robić? Byłam niewidomą, która miała kłopoty nawet z opieką nad samą sobą, a teraz jeszcze mogłam zostać samotną matką. Miałam tyle problemów, jak jeszcze mogłam wychować dziecko? Mój związek ze Stevenem właśnie rozpadał się w ekspresowym tempie. Czy powinnam w tak okropnej sytuacji sprowadzić dziecko na świat? Musiałam podjąć bardzo trudną decyzję. Jak zwykle, prawdziwą opoką okazała się dla mnie mama. Powiedziała, że cokolwiek postanowię, będzie ze mną i będzie się starała pomóc mi ze wszystkich sił. To dodało mi otuchy na tyle, że mogłam powiedzieć Stevenowi.

- Och, nie - kompletnie go zamurowało.

Nie miał najmniejszych wątpliwości. Uważał, że usunięcie dziecka nie podlega dyskusji i że sama powinnam wiedzieć o tym najlepiej. Bardzo chciałam urodzić to dziecko, jednak nie mogłam. To było najbardziej bolesne doświad-

116

czenie w moim życiu - gorsze od raka, gwałtu, załamania czy anoreksji. Strata dziecka była koszmarem i robiłam, co mogłam, żeby nie musieć przezeń przechodzić, jednak nie miałam wyjścia. Po dziesięciu tygodniach i czterech dniach ciąży poddałam się zabiegowi aborcji. Towarzyszyli mi mama, Steven i Ami. Lekarz kazał mi połknąć pigułkę, po czym poprowadził do sąsiedniego pomieszczenia. Pielęgniarka kazała mi wdychać gaz, który mnie znieczulił. Co z tego, skoro najbardziej bolała mnie dusza. Doktor usunął moje dziecko. Poczulałam się pusta i obolała.

- Dlaczego płaczesz, Liso? - zapytała pielęgniarka, kiedy doszłam do siebie po zabiegu. - Coś cię boli?

Powoli pokręciłam głowę, czując łzy płynące po policzkach na szpitalną koszulę.

- Jesteś smutna? - pielęgniarka zapytała cicho. Pokiwałam głową. Łzy płynęły już dwiema słonymi

strugami. Lekarze nafaszerowali mnie środkami przeciwbólowymi, po czym wysłali do domu. Czulałam wielką wyrwę w moim życiu. Był 7 lipca 2000 r.

Swojemu dziecku dałam na imię Jessica Rosę. Czuję bowiem, że dziecko było dziewczynką. Zawsze uwielbiałam to imię i myślę, że jest dla niej idealne. Była moim małym aniołkiem zesłanym przez Boga. Urodziłaby się w styczniu 2001 r. Właśnie wtedy odzyskałam wzrok. Wierzę, że ten drogocenny dar otrzymałam od Boga i Jessiki Rosę. To był dla mnie bardzo ciężki okres. Zadziwiające zdarzenie, jakim było odzyskanie wzroku, a jednocześnie straszliwy ból w sercu, gdyż wtedy powinno urodzić się moje dziecko. Znalazłam w sobie siłę, by zerwać ze Stevem, kilka tygodni po zabiegu. Myślę, że to Jessica Rosę dała mi siłę, by to zrobić.

117

Wkrótce przed odzyskaniem wzroku miałam zdumiewająco realny sen o mojej córeczce. Powiedziała mi o cudzie, który miał wkrótce nastąpić.

- Mamusiu, znów będziesz widzieć - usłyszałam ten śliczny, dziecięcy głosik.

Opowiedziała mi o życiu w Niebie, o opiece, jaką roztaczał nad moją córeczką Bóg. Była jednym z aniołków. Jej specjalnym zadaniem była opieka nade mną, prowadzenie mnie i ochrona przed niebezpieczeństwami świata.

Kiedy piszę te słowa, Jessica Rosę mieszka w moim sercu i choć w tej chwili w moim łonie rozwija się kolejne dziecko, to ona na zawsze będzie dla mnie tym pierwszym. To ona powiedziała mi o wspaniałym mężczyźnie, który pojawił się w moim życiu i uczynił szczęśliwą.

Sześć dni po tym, jak ją straciłam, napisałam w moim pamiętniku list.

Moja ukochana, maleńka Jessico Rosę (15 kwietnia-7 lipca 2000 r.)

Kochanie, tak bardzo za Tobą tęsknię, tak trudno się pogodzić z tą stratą. Oczywiście, wiem, że nie straciłam Cię tak naprawdę, że w duszy i sercu wciąż ze mną jesteś. Czuję wokół siebie Twoją miłości moc. Bardzo mi przykro, że nie mogłyśmy się spotkać, Moja Maleńka, jednak i tak uważam możliwość bycia Twoją matką za wielki zaszczyt. Niech Bóg ma Cię w swojej opiece na wieki. Zawsze będę Cię kochała, córeczko, zawsze będziemy razem. Kocham Cię, Maleńka.

Twoja Matka

I

Rozdział 17.

Kiedy znajomi opowiadają mi o swoich kłopotach, często w pewnym momencie przerywają słowami: „Hm, nie powinienem ci tego opowiadać, dość miałaś w życiu własnych problemów”.

Nie zgadzam się z nimi. Bez względu na źródło bólu, od wielkiej rany do drobnego zadraśnięcia, to od człowieka zależy, jak sobie z nim poradzi. Wiele w życiu przesłam, jednak uważam, że dzięki temu stałam się lepsza. Nie mogę powiedzieć, że było to przyjemne, zdecydowanie nie było. Czasami czułam się wręcz strasznie, ale to samo zdarzenie w różnym stopniu może krzywdzić różnych ludzi. Dlatego też nigdy nie umniejszam znaczenia cudzych krzywd, bez względu na ich przyczynę. Cierpienie po usunięciu dziecka było jednak tak wielkie, że musiałam udać się do psycho-

119

loga, żeby jakoś sobie poradzić. Podobnie było z rozstaniem ze Stevenem.

Rozwiązaniem okazało się odizolowanie od ludzi. Samotnie odzyskiwałam siły i wspominałam z miłością Jessikę Rosę. To bardzo mi pomogło, jednak muszę przyznać, że poczucie straty było ogromne, większe nawet niż po utracie wzroku. Zwłaszcza że, nawet pomimo mojego kalectwa, doświadczyłam i widziałam więcej niż wielu ludzi, co pomogło mi dorosnąć. Dlatego nie nienawidziłam faktu, że nie widzę, nie pozwoliłam też sobie na zgorzknienie. Prawdę powiedziawszy, wielokrotnie chciało mi się śmiać z sytuacji, w które mnie to wplątywało.

Już kiedy straciłam wzrok w wieku czternastu lat spotykały mnie zabawne sytuacje. Niedługo po tym, gdy utraciłam wzrok ostatecznie, zadzwonił do mnie bardzo miły kolega.

Rozmawialiśmy przez chwilę, po czym pożegnaliśmy się. Wtedy zaczął się niepokoić, czy poradzę sobie po odłożeniu słuchawki.

- Hej, Lisa, na pewno nic ci się nie stanie, kiedy odejdziesz od telefonu? Nie uderzysz w nic? Rozwiesili ci jakiś sznurek, którego mogłabyś się trzymać, chodząc po domu?

Zaczęłam chichotać. Do dziś, kiedy to sobie przypomnę, nie mogę powstrzymać śmiechu.

Na początku czułam się niezwykle samotna w spowitym mrokiem świecie, który jednak stanął przede mną otworem, odkąd dostałam Ami. Dzięki niej mój „współczynnik wpadania” na różne rzeczy spadł do minimalnej wysokości.

Nie wydaje mi się, żebym wyglądała jak niewidoma, bez względu na to, jak, w powszechnym mniemaniu, powinna wyglądać taka osoba. Prawdę mówiąc, często moi rozmówcy nie zdawali sobie sprawy z tego, że mają do czynienia z niewidomą, dopóki im nie powiedziałam.

120

- Jaki piękny pies! Tresuje go pani dla kogoś niewidomego? - uwielbiałam odpowiadać na podobne pytania.

- Nie - uśmiechałam się, głaszcząc Ami z dumą. - Sama jestem szczęśliwą właścicielką tego psa.

Zawsze uwielbiałam modne ciuchy. Może nie widzę, ale to nie oznacza, że muszę źle wyglądać. Dla młodej, niewidomej kobiety ubrania i makijaż mogą być koszmarem, jednak znalazłam na to sposoby. Nauczyłam się rozpoznawać dotykiem stan moich włosów. Zawsze wiedziałam, kiedy potrzebują fryzjera, kiedy mam rozdwojone końcówki bądź rozczochrane kosmyki. Zęby poradzić sobie z makijażem, brwi i rzęsy zabarwiłam henną. Gdybym próbowała używać tuszu, wyglądałabym jak bokser po walce. Nakładanie mascary było dla mnie stanowczo zbyt trudne, więc henna stanowiła najrozsądniejsze wyjście. Stałam się mistrzynią w nakładaniu szminki na wycucie, i niemal zawsze wybierałam właściwy kolor. Nie radziłam sobie natomiast z goleniem nóg. Nie wiem, czy przyczyną był brak wycucia, czy wrażliwa skóra, jednak zawsze się zaciągam. Któregoś dnia musiałam się zaciąć naprawdę głęboko, ponieważ, kiedy mama weszła do łazienki sprawdzić, jak mi idzie, aż zamarła z przerażenia. Świeżutkie, białe ręczniki, cała podłoga, moja noga, wszystko dosłownie skapano było we krwi. Nie miałam pojęcia, że zacinając się, stworzyłam scenę jak z horroru.

Moje przyjaciółki mówiły mi, co jest akurat w modzie i chodziły ze mną na zakupy. Kiedy jednak ich nie było, sama musiałam znaleźć odpowiednie ciuchy. Nauczyłam się wykorzystywać do tego zmysł dotyku. Sprawdzałam w ten sposób jakość i fakturę materiału, fason, poszukiwałam wad, takich jak brak guzika czy rozerwany szew. Wyobrażałam sobie, jak ciuch będzie na mnie wyglądał, mimo iż nie widziałam się od wieków. Musiałam polegać na uczciwości sprzedawców, kiedy pytałam ich, czy wybrana rzecz dobrze

121

li

na mnie leży i na ogół nie zawodziłam się. Mogę z dumą powiedzieć, że kiedy odzyskałam wzrok i obejrzałam swoje ciuchy, naprawdę niewiele nie nadawało się do chodzenia.

W moich poszukiwaniach szczególną uwagę poświęcałam butom. Szalałam na ich punkcie, jednak z rozsądku nosiłam tylko czarne. Pasowały bowiem do wszystkiego i wiedziałam, że nie będę w nich głupio wyglądać. Jedną z pierwszych rzeczy, które kupiłam po odzyskaniu wzroku, była para seksownych, czerwonych sandałów. Noszenie ich sprawiało mi naprawdę szaloną radość.

Kiedy odzyskałam wzrok, dostałam od ludzi pracujących z moim bratem wspaniałą bukiet kolorowych kwiatów. Chris był zatrudniony w firmie budowlanej. Ilekroć przechodziłam z Ami koło miejsca, gdzie pracowali, zawsze słyszałam wołające za mną ich głosy, którym

odpowiadałam z uśmiechem. Prześmieszny był napis na bileciku dołączonym do kwiatów: „Mamy nadzieję, że będziesz oglądać je z równą przyjemnością, jak my oglądaliśmy się z Tobą”.

Nie każdy jednak zwracał uwagę na moje kalectwo. W ciemnym świecie człowiek czuje się przeraźliwie samotny, zaś ludzie nie zawsze o tym myślą. Nie wszystkich można za to winić. Może za bardzo różniłam się od ich wyobrażeń o osobie niewidomej.

Chciałam kiedyś kupić w supermarkecie paczkę czekoladowego capuccino. Spytałam jedną z pracujących dziewczyn, czy paczka, którą chcę wziąć, jest właściwa.

- Proszę przeczytać naklejkę - odburknęła z irytacją. - Jest pani ślepa czy co?

- Szczerze mówiąc, tak - odpowiedziałam spokojnie. - Jestem ślepa.

Musiało jej się zrobić strasznie głupio, ponieważ natychmiast zaczęła mnie przeproszać, zaś jej ton stał się o wiele miłszy.

122

- Mój Boże, przepraszam, nie chciałam pani urazić - wyjąkała.

Zacząłam ją zapewniać, że nic się nie stało, że wcale mnie nie uraziła i naprawdę nie ma o czym mówić. Myślę jednak, że czuła, iż zachowała się źle. Sądzę, że nawet, jeśli będzie miała zły dzień, już nigdy nie odezwie się do nikogo w ten sposób. To zdarzenie świadczy dobitnie o tym, że nie można nikogo sądzić po pozorach. Jest to jedna z najważniejszych lekcji, jakie wyniosłam z czasów ciemności. To bardzo ważne, by nigdy i nikogo nie oceniać po tym, jak wygląda. Trzeba znacznie więcej, żeby poznać kogoś i móc go ocenić. Niestety, niewielu ludzi na świecie przestrzega tych zasad.

Absolutnie nie pozwoliłam na to, by kalectwo przeszkodziło mi w życiu towarzyskim.

Chodziłam z widzącymi przyjaciółmi do kina. Opowiadali mi szeptem treść filmu, kiedy muzyka nieco cichła. Nikt nie miał pretensji. Myślę, że po obecności Ami, skulonej przed moim siedzeniem, orientowali się, że jestem niewidoma.

Uwielbiałam też muzykę i taniec, dlatego chodziłam do dyskoteki tak często, jak to tylko możliwe. Kiedy moje uszy wypełniało rytmiczne dudnienie, mogłam tańczyć do utraty sił. Pozwalałam, by muzyka porywała mnie swym rytmem, nawet jeśli czasem kończyło się to poczuciem izolacji i zagubienia. Kilkakrotnie zdarzyło się, że tańczyłam z grupą zupełnie nieznanymi mi osobami bądź kompletnie zaskoczonych facetów. Musieli uważać mnie za bardzo śmiałą, skoro sama zaczynałam tańczyć i uśmiechać się do nich. Zdarzało się też, że zbyt blisko zbliżałam się do krawędzi podestu do tańca. We wszystkich tych sytuacjach prędzej czy później ktoś ze znajomych wyciągał do mnie pomocną dłoń i prowadził z powrotem do reszty towarzystwa.

123

Było jeszcze mnóstwo innych rzeczy, które zawsze chciałam robić, ale nie byłam w stanie, na przykład prowadzić samochód. Chciałam poczuć tę wolność, którą daje auto, czuć, że mogę udać się gdziekolwiek przyjdzie mi do głowy, jednak na to nie miałam żadnych szans.

Brak wzroku częściowo rekompensowało mi wyostrenie pozostałych zmysłów, szczególnie dotyku, węchu i słuchu. Oczywiście, nie zachowywałam się jak na filmach. Niewidomi nie próbują poznawać cudzych twarzy za pomocą dotyku, to klasyczna hollywoodzka bzdura.

Przede wszystkim wcale nie obchodziło mnie, jak wyglądają moi znajomi, po drugie, kiedy chciałam się tego dowiedzieć, zawsze mogłam kogoś spytać. W rzeczywistości naprawdę nie trzeba macać niczych policzków, ciągnąć za nos czy wpychać palców do oczu. I chwała Bogu. Bardziej interesowało mnie, co mój rozmówca ma do powiedzenia, co myśli i czuje, a nie gładkości i wyboje jego twarzy. Nie tam bowiem mieszczą się ludzkie serca.

Po rozstaniu ze Stevenem pogrążyłam się w mojej pracy w szpitalu. Umawiałam się z kilkoma sympatycznymi facetami, nie miałam jednak tak naprawdę ochoty na nic więcej niż przyjaźń. Wciąż opłakiwałam stratę Jessiki Rosę i zastanawiałam się nad moją przyszłością. Chciałabym móc trzymać swoją córeczkę w ramionach, ale w mojej sytuacji usunięcie było,

jak sędzę, najlepszym wyjściem. To była jednak bardzo trudna decyzja i ktokolwiek uważa, że można ją podjąć łatwo i bez wątpliwości, oszukuje sam siebie.

Mojej małej córeczki brakuje mi bardziej niż czegokolwiek na świecie, bardziej, niż jestem w stanie wyrazić słowami i zawsze, bez względu na to, ile dzieci będę miała w przyszłości, zawsze będzie mi jej brakować.

124

Wiedziałam w głębi duszy, że ten jedyny czekał na mnie, podobnie jak wiedziałam, że pewnego dnia zobaczę go na własne oczy. Żaden z mężczyzn, z którymi się wówczas spotykałam, nie był tym właściwym, czułam to instynktownie, jednak miło było poczuć się adorowaną. Choć wszystkie randki wyglądały podobnie, wspominam je bardzo miło. Uwielbiałam niezależność i strzegłam jej jak najcenniejszego skarbu, jednak czułam jednocześnie, że czegoś mi brakuje. W moim sercu było miejsce, które miała wypełnić miłość do tego jedyne.

Gdzie on był? Dlaczego nie mogłam go spotkać? Wierzyłam, że pewnego dnia sam do mnie przyjdzie, jednak nie miałam pojęcia, kiedy, gdzie i jak. Wkrótce okazało się, że nie miałam już czekać zbyt długo, a zdarzyło się to w całkowicie niezwykły i nieprzewidywalny sposób.

Rozdział 18.

- Zadzwoń, zadzwoń, jest naprawdę super - namawiała mnie koleżanka. Uwielbiała dzwonić na różne party-lines i poznała w ten sposób wielu ciekawych ludzi, nie wspominając o kilku przystojniakach.

- Dzięki, ale nie sędzę - odpowiedziałam najgrzeczniej jak potrafiłam, choć z trudem powstrzymywałam się od uśmiechu. - Jakoś nigdy nie miałam ochoty na takie zabawy.

- To naprawdę fajne, spodoba ci się - mrugnęła porozumiewawczo.

Siedziałyśmy w moim mieszkaniu przy kawie, radiu i plotkowałyśmy.

Podawała mi numer pomimo moich sprzeciwów. Powtarzałam jak papuga, udając, że zapamiętuje, żeby dała mi wreszcie spokój. W efekcie, oczywiście, wryłam sobie ten

127

r

numer głęboko w pamięć, tak że mogłam go powtórzyć w każdej chwili. Nie zamierzałam jednak z niego korzystać. Jakoś nie wierzyłam w możliwość poznania kogoś w ten sposób i uważałam, że będę się czuła strasznie głupio, dzwoniąc pod taki numer.

Tamtego wieczoru byłam umówiona z kilkoma koleżankami, ale straciłam ochotę, mimo iż wcześniej nie mogłam się doczekać. Odwołałam spotkanie i postanowiłam położyć się wcześniej do łóżka. Odprowadziłam koleżankę do drzwi, starając się nie myśleć o tym, co mi powiedziała.

Telefoniczne linie towarzyskie były bardzo popularne,

o tym doskonale wiedziałam. Wiele z nich reklamowało się w telewizji, nigdy jednak nie zwracałam na to uwagi. Wyrobiłam w sobie zwyczaj przełączania natychmiast po usłyszeniu pierwszych taktów reklamy. Wydawało mi się, że to nieco dziwaczna forma poznawania nowych ludzi

I nigdy jakoś nie czułam pokusy, by samej spróbować. Choć w sumie, jeśli się nad tym zastanowić, to dla niewidomych świetny sposób zdobywania znajomych. Kładąc się do łóżka, zaczęłam się zastanawiać, na kogo trafiłabym, dzwoniąc pod ten numer. Nie mogłam zasnąć, tysiące myśli przebiegało mi przez głowę. Na Ami nie mogłam liczyć. Leżała obok na łóżku, kompletnie lekceważąc moje rozterki.

- No dobra, spróbuję - pomyślałam, sięgając po telefon. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę robię coś tak głupiego.

Miałam mnóstwo przyjaciół, nie potrzebowałam żadnej przeklętej party-line. W tym momencie usłyszałam w słuchawce prośbę o zostawienie wiadomości dla innych uczestników zabawy.

Biiip.

- No, cześć wszystkim. Mam na imię Lisa i cieszę się, że mogę coś do was powiedzieć. Chciałabym poznać...

128

yyy... kogoś, z kim mogłabym pogadać, więc, tego, hm, dzwonię... Życzę wszystkim miłego wieczoru, pa.

Mój Boże, jakie to głupie. Musiałam wypaść jak kompletna idiotka, mimo iż starałam się być czarująca i pewna siebie. „No, dobra, było przecież za późno, żeby dzwonić do znajomych”, próbowałam się usprawiedliwić przed sobą.

Cały czas trzymałam słuchawkę przy uchu, mogłam więc posłuchać nagrań innych ludzi. Kilka pierwszych wywołało u mnie nerwowy chichot. Brzmiały tak śmiesznie, ludzie mówili takie głupstwa, że po prostu nie mogłam się powstrzymać. Uspokoiliam się dopiero, kiedy Ami z wyrzutem utkwiała we mnie zaspane oczy.

- Wszystko w porządku, Ami, to tylko telefon, przepraszam - wyszeptalam, głaszcząc ją po głowie. Mój głos uspokoił ją na tyle, że z powrotem odwróciła się i zasnęła.

Następny głos zresztą sprawił, że odechciało mi się śmiać. Ciepły, głęboki, śpiewny - natychmiast przykuł moją uwagę. Z drżącym sercem przesłuchiłam jego wiadomość, po czym kazałam maszynie ją powtórzyć. Coś takiego było w tym głosie, że natychmiast zapragnęłam więcej wiedzieć o tym mężczyźnie.

- Cześć, jestem Rob i chciałbym porozmawiać z kimś miłym i szczerym - na zawsze zapamiętam te słowa. Rob? Ładne imię.

Zaszumiało mi w głowie. Poczułam się dziwnie podekscytowana, siedząc w piżamie na łóżku i słuchając kogoś, kogo nawet nie znałam. Trochę to dziwne, nieprawdaż? Nie miałam pojęcia, co to za człowiek, jednak czułam, że muszę zostawić mu wiadomość. Nie pamiętam nawet, co mówiłam, byłam zbyt podniecona i zdenerwowana zarazem. Wydukałam coś w stylu: „Bardzo podoba mi się twój głos, chciałabym z tobą porozmawiać...” Nie miałam jeszcze pojęcia o tym, że Rob już wysłuchał mojej wiadomo-

129

ści i usilnie myślał, jak by się ze mną skontaktować. Powiedział później, że po usłyszeniu mojego głosu poczuł się podobnie jak ja. Po prostu wiedział, że musimy ze sobą porozmawiać.

Kiedy wreszcie udało nam się skontaktować, przeżyłam coś wspaniałego. Minęły ponad dwie godziny zanim odłożyłam słuchawkę. Ami od czasu do czasu spoglądała z niedowierzaniem, jak opowiadałam o sobie kompletnie obcemu facetowi. Żartowaliśmy, rozmawialiśmy o poważnych sprawach, zwierzyliśmy się z kilku tajemnic... Strasznie spodobała mi się jego opiekuńczość. Powiedział, że jest ojcem dwunastoletniej Anji. Kiedy to mówił, z jego głosu przebijało nieskończone oddanie dla córki.

- Zrobiłbym dla niej wszystko, jest dla mnie najważniejsza na świecie. Chciałbym, żebyście się kiedyś poznały - opowiadał. - Wiem, że rozmawiamy dziś po raz pierwszy, ale czy moglibyśmy się zobaczyć, Liso?

Zawahałam się, jednak serce odpowiedziało za mnie.

- Dobrze, Rob - wyszeptalam. - Z przyjemnością się z tobą spotkam.

Świtało już, kiedy skończyliśmy rozmawiać. Wtedy dopiero zrozumiałam, na co się zgodziłam. Byłam niewidoma, a miałam się spotkać z mężczyzną, którego poznałam przed chwilą na party-line. (Nawiasem mówiąc, musiało minąć trochę czasu, zanim byłam w stanie przyznać się znajomym, że właśnie w ten sposób się poznaliśmy. Wydawało mi się, że będzie to brzmiało zbyt desperacko, jednak okazało się, że brzmi całkiem normalnie).

Czekając na niego, byłam zaskoczona tym, że nie czuję żadnego niepokoju, mimo iż mógł to być ktokolwiek. Czułam się bezpieczna i spokojna. Jak się okazało, miałam całkowitą rację.

Kiedy tak czekałam, zanim przejedzie całe miasto, przypominałam sobie, że w rozmowie pominęłam jeden isto-

130

tny szczegół na swój temat. Nie powiedziałam mu, że nie widzę.

- Nie będzie miał mi tego za złe, prawda, Ami? -zapytałam, głaszcząc delikatnie jej głowę. Przystawiłam ucho do jej pyska, licząc, że usłyszę odpowiedź, jednak tylko ziewnęła, oblizła się i ponownie zachrapała.

Ubrałam się i zaczęłam nerwowo biegać po pokoju, oczekując pukania do drzwi. Kiedy je wreszcie usłyszałam, byłam jednym wielkim kłębkim nerwów, choć nie mogłam przestać się uśmiechać. To była dla mnie magiczna chwila. Nie mogłam uwierzyć w to, co czuję. Coś cudownego niepostrzeżenie wkrađło się do mojego pokoju.

- Cześć, jestem Rob - powiedział na powitanie. Wydawał się być nieco zdenerwowany.

- Jestem Lisa. Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. No, więc, jestem niewidoma - wyrzuciłam z siebie kłopotliwą prawdę, próbując przekazać ją zupełnie spokojnie.

- Och, dla mnie to bez znaczenia - powiedział cicho, jakby niepewnie, siadając obok mnie. Nie robiło mu to żadnej różnicy. Byłam zachwycona. Wypiliśmy kilka filiżanek herbaty i gadaliśmy aż do samego rana.

Rob miał trzydzieści trzy lata, pracował w firmie budowlanej i jako monter telewizji satelitarnej. Pragnął się ustakować u boku kogoś wyjątkowego, ale uważał, że to musi być właściwa osoba. Kobieta, która pragnęłaby rodziny tak mocno, jak on. Przytaknęłam. Ten człowiek wydawał się być ideałem. Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Kiedy objęliśmy się na pożegnanie, kiedy przycisnęłam twarz do jego piersi, cała drżałam. Był taki wysoki, znacznie wyższy ode mnie. Czułam jego oddech na samym czubku głowy.

- Czy to nie zdumiewające?-wyszeptał.-Jestem wzruszony.

131

Pokiwałam tylko lekko głową. Czułam to samo, jednak po raz pierwszy w życiu nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa. Kiedy powoli zamykałam drzwi, zrozumiałam, że wreszcie znalazłam drugą osobę. Pasował do mnie, do mojego serca i duszy jak brakujący kawałek układanki. Długo czekałam na Roba. Powłokłam się do łóżka, przekonując, że powinnam się przespać choć kilka godzin, jednak byłam zbyt podekscytowana, by zasnąć.

„Boże, pobłogosław Ami i Jessicę Rose”, wyszeptałam jak zwykle przed snem. Tym razem jednak dodałam jeszcze ciche „Dziękuję”. Zamknęłam oczy, aby móc zobaczyć Roba i siebie, razem. Przyszłość rysowała się tak wspaniale. Nie miałam pojęcia, że wkrótce stanie się jeszcze lepsza, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam.

List przyszedł któregoś poranka wraz z pocztą, chwilę po tym, jak Rob wyszedł ode mnie. Musiałam poczekać na Natalie, moją koleżankę, która mogła mi go przeczytać.

- Od Roba - powiedziała zaskoczona. - Hm, bardzo ciekawe, intrygujące nawet.

Mogłam przysiąc, że Natalie droczy się ze mną i, nawiasem mówiąc, świetnie jej to szło. Wprost umierałam z ciekawości.

- Hej, przeczytaj mi go, przeczytaj, proszę - błagałam, niemal podskakując z podniecenia. Treść listu wzruszyła Natalie do łez, zaś dla mnie stała się niemal słowami wyroczni. Rob napisał najcudowniejszy list, jaki otrzymałam w życiu. Pisał, że nigdy i z nikim nie czuł się tak jak ze mną. Poczułam niemal fizyczną ulgę. W głębi duszy czułam do niego to samo. Byłam nieskoń-

133

czenie szczęśliwa z tym cudownym, troskliwym i szczerym człowiekiem. Do dziś trzymam ten list pod poduszką i śpię na nim każdej nocy, by jego słowa mogły sączyć się w moje sny. Czuję się tak bezpiecznie, wiedząc, że w każdej chwili mogę włożyć rękę pod poduszkę i dotknąć listu, że jest dla mnie bezcenny, mimo iż to tylko papier i atrament.

Od samego początku byliśmy z Robem nierozłączni. Spotykaliśmy się niemal codziennie, mimo iż mieszkał wraz z córką, Anji, dokładnie po przeciwnej stronie Auc-land. Całymi godzinami potrafiliśmy po prostu spacerować z Ami po plaży w Devonport. Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy, jakbyśmy nie byli w stanie przestać. Kiedy obejmował mnie swoim silnym ramieniem, czułam, że byłby w stanie obronić mnie przed całym światem. Od samego początku pokochałam jego ciepło i oddanie, a także to, że jedynym, czego pragnął, było usatkwować się u boku ukochanej osoby. Zaslugiwał na taką osobę. Okazało się, że oboje przeżyliśmy w przeszłości wiele trudnych chwil, jednak uczyniło nas to jedynie silniejszymi. Czułam się z nim związana bardziej niż z kimkolwiek na świecie.

Kiedy zabrał mnie na pierwsze spotkanie z Anji, byłam bardzo zdenerwowana. Wiedziałam, że z dwunastolatkami czasem trudno się porozumieć, jednak udało nam się przełamać lody od pierwszego słowa. Już po chwili traj-kotałyśmy jak para świetnych, znających się od wieków kumpelek. Okazało się, że miałyśmy z Anji wiele wspólnego, bez problemów więc znalazłyśmy wspólny język. Jest naprawdę uroczą dziewczynką, niezwykle czułą i opiekuńczą w stosunku do ojca, cieszę się, że możemy się dogadać. Córki bywają bowiem najsurowszymi sędziami, podobnie zresztą jak matki.

Zaprosiłam Roba, aby przedstawić go mamie. Nie denerwowałam się ani trochę, choć dla wielu par jest to

134

niezwykle ciężkie przeżycie. Po prostu wiedziałam, że mama go polubi, widząc, jak bardzo szczęśliwa jestem u jego boku. Miałam rację, przyjęła go bardzo serdecznie.

- Wspaniały facet, Liso, bardzo mi się podoba - powiedziała cicho, korzystając z tego, że znalazłyśmy się same w kuchni, by przygotować kawę.

Objęłam ją z całej siły w podzięcie za tak cudowne słowa. Było dla mnie bardzo ważne, żeby mama zrozumiała, że wreszcie znalazłam tego jedynego.

Mama i Rob wesoło gawędzili, ja zaś, słuchając ich, poczułam się wreszcie spokojna i pogodzona ze sobą. Nie wiedziałam, że przyjdzie mi się zmierzyć jeszcze z kilkoma problemami. Wciąż czułam ból po stracie dziecka, podobnie jak niezagojone rany z poprzedniego związku. Rob miał jednak na mnie leczniczy wpływ. Dzięki uczuciu, które nas połączyło, znalazłam w sobie siłę, by uporać się z przeszłością.

Rob także wiele przeszedł w swoim życiu. Podziwiałam jego szczerłość i uczciwość, kiedy przyznawał wprost, że nie był bez skazy. Bez upiększeń opowiedział mi o wszystkim, co przeżył, i to jeszcze bardziej mnie do niego przekonało. Żadnych pozorów, żadnych masek, żadnych iluzji - tak podchodził do życia, robi tak zresztą do dziś.

Trzy dni po tym, jak go poznałam, napisałam w pamiętniku o facecie, który przewrócił kompletnie mój świat do góry nogami lub ułożył go właściwie.

9 października 2000 r. Kurczę, przydarzyło mi się coś naprawdę niesamowitego. Coś, czego pragnęłam i na co oczekiwałam całe życie. Poznałam wspaniałego mężczyznę, naprawdę wyjątkowego. Połączyliśmy się natychmiast, po pierwszym usłyszeniu się nawzajem. To prawdziwe i mocne uczucie.

Ma na imię Robert, jednak woli, żeby mówić w skrócie -Rob. Przez chwilę rozmawialiśmy przez telefon, po czym

135

zaprosiłam go do siebie. Wiedziałam, odkąd tylko usłyszałam jego głos, że jest między nami więź, która sprawia, że tylko razem możemy czuć się kompletni.

Poczułam coś tak wyjątkowego, że wprost nie mogę uwierzyć. Żadne z nas nie czuło nigdy czegoś podobnego. Naprawdę boję się, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Nigdy wcześniej nie czułam ciągłego pragnienia drugiej osoby. Nigdy nie zależało mi na bliskości tak bardzo jak teraz. Nigdy nie przeżyłam nic tak intensywnego, tak silnego ani tak nagłego

jak teraz. Dlatego ogarniają mnie wątpliwości. Czy to możliwe? Czy to się dzieje naprawdę? Serce podpowiada, że tak, może powinnam posłuchać.

Rob opowiada mi najcudowniejsze rzeczy, jakie kiedykolwiek słyszałam. Pyta, gdzie byłam, ponieważ widział kogoś podobnego i myślał, że to ja. Mówi, że jestem wszystkim, czego potrzebuje do szczęścia, że jestem najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

Postanowiliśmy dać sobie tydzień na przekonanie się, czy chcemy być razem, ale powiedział, że już zdecydował. Chce być ze mną, podobnie jak ja chcę być z nim. Ten mężczyzna coś w sobie ma i pragnę, by stał się na zawsze częścią mojego życia.

Nie potrzebowaliśmy tygodnia na decyzję, czy chcemy być ze sobą. To od początku był poważny związek. Ami wystarczyło jedno spojrzenie wielkich brązowych oczu, by się w nim zakochać. Moja psinka zna się na ludziach i ma w zwyczaju wybierać własnych przyjaciół. Znalazła sobie kilka osób, które uwielbia. Posiadanie tak pięknego psa może być niebezpieczne, ponieważ wielu przechodniów zwraca na nią uwagę. Ona jednak sama woli dobierać sobie przyjaciół i byłam bardzo szczęśliwa, kiedy pokochała Roba. Już kilka tygodni po naszym pierwszym spotkaniu byłam bardziej niż pewna, że spotkałam mężczyznę, z którym chciałabym się zestarzeć. W pamiętniku napisałam:

136

Bóg zesłał mi kogoś bezcennego, moją drugą połowę. Rob jest jedyną prawdziwą miłością mojego życia. Chciałabym, by został moim mężem. On będzie moim mężem. Mam pewność, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Bóg zesłał mi mężczyznę, z którym spędzę resztę życia. Rob jest moim najlepszym przyjacielem, kocha mnie tak mocno, jak ja kocham jego - bardziej, niż mogę wyrazić. Moje myśli i moja miłość są cały czas przy nim. Teraz już wiem, że prawdziwa miłość istnieje i zostałam obdarzona tym błogosławieństwem. Dziękuję Ci, Boże. Nie obchodziło mnie, jak Rob wygląda, jednak on się tym przejmował. W sumie jego niepokój był dość dziwny - byłam niewidoma i, według lekarzy, miałam pozostać taką do końca życia. Nerwy wzrokowe nie są w stanie się odnowić po tym, jak obumarły, a tak właśnie stało się z obojgiem moich oczu po operacji mózgu. Utraciłam wzrok nieodwracalnie, już do końca życia miałam nie zobaczyć świata. Nigdy nie miałam zobaczyć twarzy Roba, podobnie zresztą jak swojej własnej. Na czym więc polegał problem?

Być może Rob się niepokoił, ponieważ czuł, że wkrótce mój świat się odmieni. Miał zdarzyć się kolejny cud.

1

Rozdział 20.

Jest 16 października 2000 r. O mój Boże, niech Bóg błogosławi cały świat. Dzisiejszy dzień na zawsze już pozostanie najniezwyklejszym w moim życiu. Choć wydaje się nieprawdopodobny, jest prawdą. Obudziłam się dziś rano i, dzięki łasce Boga, widzę. Trudno mi jeszcze w to uwierzyć, jednak to prawda. JA WIDZĘ! Dzięki. Dzięki Ci, Panie, dzięki mój mały aniołku, Jessiko Rose. Obdarzono mnie ponownie możliwością oglądania piękna tego świata. Jest tyle rzeczy, które pragnę teraz ujrzeć i zrobić, i wiem, że wszystko to stało się wreszcie możliwe.

Wprost nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, tak, ZOBACZĘ, moją rodzinę, przyjaciół i, nade wszystko, ukochanego mężczyznę - Roba.

Nie potrafię opisać tego, co poczułam, widząc mamę i Chrisa. To jedna z najważniejszych chwil mojego życia. Kolejną taką chwilą będzie zobaczenie Roba.

139

Mój Boże, jestem nieskończenie wdzięczna za dar, który dziś otrzymałam. Dzięki Ci, Panie. Napisałam te słowa wieczorem, w dzień po tym, jak nabiłam sobie guza. Wydawało się niewiarygodne, że coś tak małego może mieć tak ogromny wpływ na życie. To jedyne, co przyszło mi do głowy, kiedy zaczęłam się zastanawiać nad przyczyną cudu, który mnie spotkał. Całe zdarzenie wyglądało zupełnie normalnie. Pochyliłam się, by na dobranoc

pocałować Ami w głowę. Podnosząc się jednak, z całej siły trzasnęłam własną głową o stolik. Poczułam się dziwnie, zakręciło mi się w głowie, dlatego natychmiast położyłam się do łóżka. Kiedy rano otworzyłam oczy, świat znów mienił się dla mnie tęczą barw. Po dziesięciu latach od utraty wzroku. Czy można to nazwać inaczej niż cudem?

Po obejrzeniu w lustrze starszej i dojrzałszej Lisy, po przywyknięciu do jej... mojej nowej twarzy, postanowiłam na kilka godzin zatrzymać mój dar w tajemnicy. Chciałam sprawdzić, czy rzeczywiście widzę, czy to nie tylko chwilowe olśnienie, czy naprawdę zdarzył się ten cud. Niemal bałam się wyjrzeć na świat. Co się zmieniło przez te lata? Przez kilka godzin po prostu siedziałam w ogrodzie, patrząc. Na trawę, na gałęzie drzew poruszane delikatnym podmuchem wiatru, na chmury płynące ponad dachami. Studiowałam najdrobniejsze szczegóły płotu, ścieżki... Oglądałam wszystko, co tylko znalazło się w zasięgu mojego wzroku. Kiedy upewniłam się, że rzeczywiście widzę, kiedy już nacieszyłam się swoim skarbem w samotności, zadzwoniłam do mamy.

- Nie uwierzysz, co się stało. Odzyskałam wzrok. Nie wiem jak ani dlaczego, ale tak się stało. Nie wiem, co jeszcze mogę ci powiedzieć - zaczęłam, wyrzucając słowa jak karabin maszynowy, a skończyłam, przełykając łzy, kiedy po raz kolejny dotarło do mnie, co się stało.
140

Ton mojego głosu nie pozostawiał wątpliwości. Mama wiedziała, że nie żartuję, jednak, aby dać jej dowód, podniosłam paczkę papierosów.

- Posłuchaj, wtedy uwierzysz- przeczytałam mamie ostrzeżenie ministerstwa zdrowia o szkodliwości palenia, słowo po słowie.

Po drugiej stronie zapadła cisza. W końcu usłyszałam cichy głos:

- Już jadę.

Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam ją na schodach, próbującą ze wszystkich sił powstrzymać łzy. Bezskutecznie. Zupełnie się nie zmieniła od czasu, kiedy straciłam wzrok. Owszem, była nieco starsza, włosy jej posiwiały, jednak to była po prostu mama. Tak doskonale znana. Padłyśmy sobie w objęcia i płakałyśmy. Częściowo z radości, częściowo ze zdumienia.

Spotkałam też wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę. Miał kilkudniowy zarost, blizny od gry w rugby oraz pojaśniałe od słońca włosy. Był ubrany w koszulę i krótkie spodenki. Gdzie ten mały, stale potrzebujący ochrony braciszek? Ten facet naprawdę wyrósł.

- Chris? Mój Boże, Chris - objęliśmy się, jednak już po chwili skakaliśmy z radości jak dzieci.

Brat nie mógł powstrzymać się od sprawdzania, jak dobrze widzę. Nie był w stanie zrozumieć, że przez tyle lat nie widziałam, po czym nagle bez powodu odzyskałam wzrok.

- Jaki to kolor? - pytał, wskazując książkę, ramę obrazu czy poduszkę i potrząsając ze zdziwieniem głową po każdej poprawnej odpowiedzi.

Spędziliśmy ten wieczór we troje, rozmawiając, oglądając stare zdjęcia, czasem płacząc za dawnymi czasami bądź ze szczerzej radości. Mogłam wreszcie przeczytać prowadzone

141

te przez wszystkie lata pamiętniki. Byłam nimi głęboko poruszona.

- Patrzcie, to ja w Sydney z dziewczynami - śmiałam się, oglądając stare zdjęcia z wakacji.

- Patrzcie na wigilijny stół.

- Mamo, wspaniale wyglądasz na tym zdjęciu.

- To ja? Moje włosy wyglądają koszmarnie, dlaczego mi nie powiedzieliście?

- O, Chris, tu jesteś. Ale śmiesznie wtedy wyglądałeś.

- Nie mam pojęcia, kim są ci ludzie. Wiem, że to moi znajomi, ale nie potrafię ich odróżnić inaczej niż po głosie. Powiedzcie mi, kto jest kto?

Ami siedziała przy mnie przez cały wieczór, wpatrując się we mnie wielkimi, brązowymi ślepiami. Patrzyła, jak przerzucam strony starych albumów ze zdjęciami, nadrabiając

zaległości w oglądaniu tego, co przeżyłam przez te lata. Nie mogłam oderwać od niej oczu. Moja maleńka, moja dziewczynka, mój misiaczek. Była taka śliczna.

Chris zabrał mnie na spacer po Devonport. Było tak podobne i tak różne od tego, które pamiętałam. Co chwilę znajdowałam jakiś element z przeszłości bądź coś nowego.

- Gdzie moja różowa ścieżka?! - wrzasnęłam, widząc szary chodnik prowadzący do mojej dawnej szkoły. - Jeździłam tędy rowerem i była różowa.

Chris roześmiał się i ścisnął moje ramie.

- Od tego czasu stała się szara - odparł, niemal krztusząc się ze śmiechu.

Dziwnie się tego dnia czułam. Przez chwilę odczuwałam radość, sekundę później niedowierzanie, strach, że mój wzrok zniknie równie nagle, jak się pojawił. Chwilami smutek, że ominęło mnie tak wiele. Wylałyśmy tego dnia z mamą prawdziwe morze łez. Chris także uronił kilka, sądząc, że uda mu się je przede mną ukryć. Zapomniał, że odzyskałam wzrok.

142

Kiedy położyłam się do łóżka, bałam się zamknąć oczy. To był długi dzień, byłam wyczerpana. Kiedy mama i Chris już wyszli, zobaczyłam, jak bardzo zakurzone jest moje mieszkanie. Moje meble wyglądały szaro, zaczęłam je więc polerować, śmiejąc się, że wystarczająco długo odwlekałam tortury. Sprzątałam, dopóki oczy nie zaczęły mi się zamykać ze zmęczenia.

Następnego ranka, po przebudzeniu, zacisnęłam na parę chwil powieki. Byłam przygotowana na najgorsze. Kiedy jednak otworzyłam oczy dostrzegłam mój pokój, dokładnie taki, jakim go zostawiłam. Parapet wymagał odkurzenia, ponieważ nie miałam już siły zrobić tego wczoraj. Zadzwoił telefon. Odbierając go, wciąż jeszcze wzdychałam z ulgą. Dzwoniła mama. W jej głosie słychać było wielkie napięcie.

- Lisa? Wiem, że jest wcześniej, ale nie mogłam czekać dłużej! Czy ty... Czy wciąż widzisz?

- Tak, mamu. Widzę - odpowiedziałam. Nie wiem, która z nas krzyknęła głośniej.

Mój odzyskany wzrok musiał zostać przebadany przez lekarza. Pojechałam z mamą do Devonport, do gabinetu Sary Burnett.

Sarah wysłuchiwała mojej opowieści w milczeniu. Spojrzała mi w oczy, zbadała, co potrafię dostrzec i z jakiej odległości. W końcu usiadła naprzeciwko mnie, kręcąc głową.

- Nie potrafię tego wyjaśnić, jednak wygląda na to, że po prostu odzyskałaś nerwy i, tym samym, wzrok - powiedziała bez ogródek. Uśmiechnęła się. - Nie masz pojęcia, jak trudno uwierzyć w to, co widzę.

Choć, ogólnie rzecz biorąc, odzyskałam wzrok, nie pozbyłam się kłopotów. Sprawność lewego oka wynosiła wprawdzie osiemdziesiąt procent, jednak postrzeganie poszczególnych przedmiotów w polu mojego widzenia

143

było na poziomie zaledwie dwu procent. Na szczęście, to, co dostrzegałam, nie było ani zamglone, ani niewyraźne. To była prawda - znów widziałam. Nie mieliśmy jednak pojęcia, dlaczego? Bezpośrednią przyczyną było niemal na pewno uderzenie w głowę. Nie wiedzieliśmy jednak, co się w wyniku tego uderzenia zmieniło w moim organizmie. Być może wstrząs uaktywnił jakąś część mózgu. Część, która przez lata zdrowiała, regenerowała się, aż w końcu była gotowa do ponownego wypełniania swojej funkcji. A może to nie uderzenie, może odzyskałam wzrok zupełnie przypadkowo?

Następnego dnia zadzwoniłam do Roba i opowiedziałam mu, co się stało. Był zaszokowany, ale i szczęśliwy.

- Boże, to niesamowite - powtarzał w kółko.

W końcu nie wytrzymał, powiedział, że zaraz przyjedzie. Był zdenerwowany, podobnie zresztą jak ja.

Zmierzchało już, kiedy szłam w kierunku promu, którym miał przypłynąć Rob. Odległe światła miasta wyglądały wspaniale, migocąc na falach zatoki. Wcześniej długo przygo-

towywałam się do spotkania, upewniając się po kilkanaście razy, że moja fryzura jest w porządku i że dobrze wyglądam. Ami, oczywiście, była ze mną, równie odpowiedzialna jak zwykle.

Kiedy pasażerowie zaczęli wychodzić, od razu wiedziałam, który z nich to mój ukochany. Rozpoznałam go, zanim się jeszcze odezwał. Wysoki, silny szatyn o sympatycznej twarzy był dokładnie tym mężczyzną, którego sobie wyobrażałam. Podeszłam do niego z uśmiechem na twarzy i pewnością w sercu.

- Rob? - spojrzał na mnie i uśmiechnął się. W jego pięknych oczach błysnął cień niepokoju. Spacerowaliśmy ramię przy ramieniu przez Devonport, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie. Jak gdyby

144

dookoła nas nie było nic. Patrzyłam na niego i patrzyłam. Był tak przystojny, tak czuły i tak doskonały, że nie mogłam oderwać oczu. Kiedy przystanęliśmy, aby się pocałować, nie dbaliśmy o to, kto mógłby nas zauważyć. Rob spojrzał na mnie, zdenerwowany.

- Bardzo się bałem, że kiedy już mnie zobaczysz, nie spodobam ci się - powiedział powoli.
- Naprawdę? - odparłam z szelmowskim uśmiechem. - Nie wiesz, że zamierzam za ciebie wyjść?

I

Rozdział 21.

Prawdziwy sprawdzian dla mojego wzroku nastąpił, kiedy zajęli się nim specjaliści. Zostałam skierowana do dr. Rossa Mackaya, jednego z najlepszych okulistów w Auckland. Znałam go od wielu lat. Razem ze swoją współpracownicą, dr Dianne Sharp, miał przeprowadzić szczegółowe badania. Chcieli ustalić, dlaczego i w jakim stopniu odzyskałam wzrok. Był jeszcze jeden powód testów. Towarzystwo Pomocy Niewidomym chciało wiedzieć, czy wciąż mam prawo do posiadania psa-przewodnika, więc byłam pełna obaw co do wyników.

Mój wzrok został zbadany bardzo gruntownie. Dr Mac-kay kazał mi czytać litery z tablicy, każdym okiem osobno. Później musiałam wpatrywać się w zamknięty cylinder i naciskać przycisk, kiedy kątem oka dostrzegałam punkty świetlne o różnej intensywności.

147

Dr Sharp badała moje oczy, używając naprawdę skomplikowanych przyrządów. Sprawdziła pracę siatkówki. Ile informacji przesyła do nerwu wzrokowego i ile z tego trafia potem do mózgu. W tym celu zamroziła moje gałki oczne specjalnym płynem znieczulającym i położyła na ich powierzchni niewielkie dyski z metalowej folii, które odczytywały stopień elektrycznej aktywności wewnątrz gałek ocznych oraz nerwów wzrokowych. Przejście przez wszystkie badania trwało bardzo długo i po ich zakończeniu byłam kompletnie wyczerpana. Jednocześnie jednak byłam podekscytowana, nie mogąc doczekać się wyników. Czy wzrok powrócił, ponieważ zniszczony przez raka nerw wzrokowy się zregenerował?

Lekarze wydawali się zaskoczeni całym zjawiskiem i zadowoleni, ponieważ tak dobrze sobie radziłam. Zwłaszcza w porównaniu z poprzednimi testami w szpitalu, zanim jeszcze utraciłam wzrok na dobre. Kiedy zobaczyłam wyniki, było w nich mnóstwo mądrych, technicznych słów, jednak sens był oczywisty - lekarze nie mieli pojęcia, co się stało, poza tym, że widziałam. To jedno było pewne. Byłam zarówno szczęśliwa, jak i wystraszona. Badania wykazały, że na prawe oko nie widziałam niemal zupełnie, jednak lewe było sprawne w niemal osiemdziesięciu procentach. Dla porównania, człowiek z idealnym wzrokiem (co jest prawie niespotykane) widzi dokładnie wszystko w zasięgu dziewięciu metrów, ja zaś widziałam w zasięgu ponad sześciu. Postrzeganie kolorów było w normie, dokładnie tak, jak przed utratą wzroku, co bardzo mnie ucieszyło, ponieważ uwielbiałam żywe barwy. Dostrzeganie przedmiotów na obrzeżach mojego pola widzenia, z kolei, spadło niemal do

zera. Dokładnie do około dwu procent, co dla wielu ludzi mogło wydawać się podobne do spoglądania przez lunetę. Ludzie bowiem przyzwyczajeni są do oglądania wiel-

148

kiego obrazu, ja zaś widziałam jedynie małą wysepkę. Po latach ciemności jednak było to dla mnie wielkie, cudowne okno na świat i byłam nim zachwycona.

Badania siatkówek oczu wykazały, że pracowały one przez cały czas, pozostawały jednak bezużyteczne bez nerwów wzrokowych, które przesyłałyby zebrane informacje do mózgu. To tak, jakby mieć wielki kinowy ekran, jednak kompletnie pusty, ponieważ nie ma się projektora. Moja kamera, mój nerw wzrokowy był pozbawiony dopływu krwi. Nerwy wzrokowe nie regenerują się, tak też było w moim przypadku. Bez stałego dopływu krwi kurczą się i obumierają, niezdolne do przekazywania informacji do mózgu. Dlaczego więc widziałam? To nie miało sensu. Dlaczego widzę, skoro mój mózg nie ma połączenia z okiem? Lekarze nie mieli pojęcia, nie mają zresztą do dzisiaj. Ja też nie.

Wymyślili jedynie pewną hipotezę, jednak nie mogli jej dowieść. Ich zdaniem, uaktywniła się niewielka część mojego mózgu, która była w stanie odbierać informacje z kilku komórek działających wewnątrz połączenia nerwowego. Być może z powodu fizycznego bólu podczas rozwoju guza mózgu oraz jego usunięcia ta część mózgu zamknęła się na ledwie dochodzące sygnały i potrzebowała dziesięciu lat oraz jakiegoś dziwnego przypadku, aby ponownie się na te sygnały otworzyć.

Może uderzenie w stół sprawiło, że mózg ponownie zaczął funkcjonować jak należy, być może nie miało z tym nic wspólnego. Lekarze przyznali, że tak naprawdę nie mają bladego pojęcia, co się stało. Nikt zresztą nie miał i kiedy moja historia pojawiła się w prasie i telewizji, dr Mackay wielokrotnie to powtarzał. Całe zdarzenie było bardzo dziwne, ale zarazem cudowne i bardzo się cieszę, że nastąpiło.

149

I

Lisa Hartwell, która z ramienia Towarzystwa Pomocy Niewidomym nadzorowała badania, była pod wrażeniem, szczególnie, kiedy przeczytała wyniki.

- Nie mają pojęcia, co się stało - powiedziała. - To fascynujące.

Przedemną był jednak jeszcze trudniejszy test. Towarzystwo chciało sprawdzić, jak odzyskanie przeze mnie wzroku wpłynie na zachowanie Ami, która była nauczona, że prowadzi osobę niewidomą. Jak powiedziała Lisa, kiedy u osoby niewidomej następuje poprawa, zdarza się, że zaczyna ona przewidywać zachowania swojego psa lub wykonuje rzeczy, które wcześniej robił pies. W efekcie zwierzę czuje się skołowane, ponieważ nie może wykonywać swoich obowiązków, co może doprowadzić je nawet do apatii. Musiałam przejść się ulicami Devonport, by ludzie z Towarzystwa mogli ocenić, czy zaczynam przejmować kontrolę.

Kiedy przechodziłam ten sprawdzian, sądziłam, że to jedynie działanie rutynowe mające sprawdzić, czy wciąż dobrze się z Ami rozumiemy. Byłam jednak nieco zdenerwowana, jakby wyczuwając, że to ma jakieś szczególne znaczenie.

Dr Ross Mackay zasugerował, że powinnam wciąż być zarejestrowana jako niewidoma, ponieważ moje wąskie pole widzenia mogło sprawiać problemy w poruszaniu się po ulicach. Stwierdził, że do niezależnego życia wciąż potrzebowałam Ami, nawet pomimo tego dziwnego, niewielkiego okna na świat, które nieco się powiększyło po tym, jak wpadłam na krzesło po wyjściu z gabinetu, w którym robiono mi badania. Już po raz kolejny nabiłam sobie szczęśliwego guza. Wciąż jednak nie widziałam zbyt dobrze ruchu na skrzyżowaniu bądź stopni na schodach. Ludzie z Towarzystwa Pomocy Niewidomym zgodzili się z opinią dr. Mackaya, kiedy zobaczyli, jak świetnie się z Ami rozumiemy.

150

Zrozumiałam z czasem, że gdybym zaczęła przewidywać jej zachowania lub przejmować nad nią kontrolę, zostałaby mi odebrana i otrzymałabym psa bardziej pasującego do mojego nowego wzroku. Bogu dzięki, wciąż tworzyliśmy świetnie rozumiejący się duet. Gdyby mi ją zabrano, załamałabym się. Ami jest dla mnie nie tylko przewodnikiem. Stanowi część mojego życia. Gdybym ją straciła, czułabym się, jakbym straciła członka rodziny. Myślę, że nigdy bym się z tym nie pogodziła.

Poczułam wielką ulgę, kiedy uznano, że Ami nadal będzie moim psem-przewodnikiem.

- Zostajesz ze mną, maleńka - przytuliłam ją z całej siły, po czym pocałowałam w głowę, zostawiając kolejny ślad szminki. - Nikt mi cię nie odbierze.

To wyjaśnia, dlaczego wciąż jest ze mną, mimo iż odzyskałam wzrok. Wciąż jej potrzebuję, ze względu na wąskie pole widzenia i kłopoty z oceną odległości. Dzięki niej wciąż mogę poruszać się swobodnie po ulicach, a przy okazji jest moją ukochaną dziewczynką, której nikt nigdy mi nie odbierze.

Podczas gdy światek lekarski był kompletnie zbity z tropu, media oszalały. W ciągu kilku dni musiałam podjąć niezwykle ważną decyzję. Czy powinnam ujawniać światu cud, który mnie spotkał? Ludzie, którzy mnie znali, i tak o tym mówili, wiedziałam więc, że prędzej czy później prasa się dowie. Liczyłam, że jeżeli sama zdecyduję się na ujawnienie tego zdarzenia, uda mi się zachować jakąś kontrolę. Co więcej, to, co mnie spotkało, było prawdziwym cudem. Czy powinnam ukrywać przed światem dzieło Boga? To przeważało. Lisa Reid miała stanąć przed kamerami.

Rozdział 22.

Mój wujek Dave miał rację, kiedy opowiedziałam mu o cudzie, który mnie spotkał.

- Słuchaj, to będzie wielka sensacja. Może potrzebujesz kogoś, kto pomógłby ci sobie z tym poradzić?

Zgadzałam się z nim. Szef mamy obiecał nam pomoc w dotarciu do mediów. Zawiadomił gazetę „New Zealand Herald” oraz Paula Holmesa prowadzącego popularny, zajmujący się aktualnościami program telewizyjny.

Wśród całego smutku, strachu, śmierci i rozpaczycy świata moja historia dawała ludziom radość. Dawała nadzieję, że nawet jeśli życie wydaje się ponure, może nas spotkać szczęście, a wszystkim, czego potrzeba, jest wiara. Postanowiłam ujawnić całą sprawę także dlatego, że poszukiwałam wówczas czegoś, co pomogłoby mi przerwać

trudny okres. Mój ukochany przebywał na odwyku z powodu uzależnienia od amfetaminy. Wiedziałam już wcześniej o jego problemach i ze wszystkich sił próbowałam pomóc mu uporać się z nimi. Sama w końcu wiedziałam, jak to jest popaść w chorobę i mieć nadzieję, że uda się z niej wyjść. Chciałam, żeby tak samo stało się z Robem. Rozumiał już, że musi się leczyć i był zdecydowany. Byłam z niego bardzo dumna, uważałam jego decyzję pójścia na odwyk za niezwykle odważną. Bulimia i anoreksja również są swoistymi uzależnieniami, doskonale więc rozumiałam, przez co przechodzi i pomagałam mu, jak tylko mogłam. Stanowiliśmy zespół. To miała być ciężka walka, chciałam ją jednak stoczyć u jego boku, w imię naszej wspólnej przyszłości.

Kiedy zabrakło przy mnie ukochanego mężczyzny, otrzymałam wielkie wsparcie ze strony mamy. Pracowała wówczas jako strażnik w Sądzie Miejskim. To zajęcie przysparzało jej wystarczająco wielu stresów i nie chciałam, by dodatkowo martwiła się moimi kłopotami z dziennikarzami. Okazało się bowiem, że nie doceniłam potencjału mojej historii. Sądziłam, że udzielię paru wywiadów, zapozuję do kilku fotografii, po czym sprawa ucichnie, zaś moje życie wróci do normalności. Jakaż byłam naiwna. Reakcje dziennikarzy przeszły moje najśmielsze oczekiwania.

Z Paulem Holmesem i jego ekipą spotkałam się na pięknej Cheltenham Beach, gdzie mieliśmy kręcić program. Paul był bardzo miły, opowiadał dowcipy, żebym mogła się

rozluźnić, kiedy jednak włączono kamery, zmienił się w najprawdziwszego profesjonalistę. W sumie podobało mi się, choć jednocześnie czułam się nieco dziwnie, rozmawiając z człowiekiem, którego głosu słuchało się od wielu lat w telewizji.

Szliśmy plażą z Ami u mojego boku. Okazało się to nawet łatwiejsze, niż sądziłam. Zawsze wiele mówiłam, tu

154

zaś przyszło mi odpowiadać na pytania, na które odpowiadałam już wcześniej i miałam odpowiadać jeszcze wielokrotnie w przyszłości.

- Co się stało?
- Co wtedy czułaś?
- Co było pierwszą rzeczą, którą zrobiłaś po odzyskaniu wzroku?
- Jak sądzisz, dlaczego spotkało to właśnie ciebie?
- Co czuła twoja rodzina?
- Co zamierzasz robić, kiedy odzyskałaś wzrok?

Ami przez cały czas była przy mnie. Nie spuszczała oka ze wszystkich tych nieznanym z mnóstwem dziwnego sprzętu. Wszystko to było dla niej nowe, jednak świetnie sobie poradziła. Byłam strasznie dumna.

Ludzie z „Heralda” również chcieli przeprowadzić ze mną wywiad tego samego wieczora, tak aby mogli zamieścić artykuł w porannym wydaniu. Z ich dziennikarką, młodą i sympatyczną, rozmawiało mi się bardzo miło. Zrobiono nam z Ami zdjęcie i, choć muszę przyznać, że wyszłam całkiem nieźle, moja maleńka wyszła absolutnie wspaniale. Kiedy tylko pojawia się kamera, Ami zmienia się w prawdziwą gwiazdę. Ilekroć ma okazję, wykazuje iście hollywoodzki wdzięk, czego dowody dawała wówczas bardzo często.

Po pierwszych publikacjach rozpętało się istnie piekło. Niemal nie mogłam wyjść z domu, by nie zostać zaczepioną przez jakiegoś nieznanomego, który chciał się przywitać, pogratulować bądź pogłaskać Ami. Otrzymałam mnóstwo kwiatów, listów i kartek z najlepszymi życzeniami. Już po tygodniu musiałam zmienić numer telefonu. Tak wielu ludzi dzwoniło z pytaniami na temat cudu, który mnie spotkał, że nie byłam w stanie im wszystkim odpowiedzieć. Mój komputer był wręcz bombardowany setkami e-maili. Poczułam się zaszczuta. Miałam wrażenie, że nie mogę

155

mieć gorszego dnia, ponieważ wszyscy oczekiwali, że stale będę „tą uśmiechniętą dziewczyną z telewizji”.

Otrzymywałam mnóstwo propozycji od mediów, częściowo spoza kraju, i byłam bardzo zaskoczona, że moja historia zainteresowała tylu ludzi. Najwyraźniej miała w sobie coś tak ciepłego, że poruszała osoby ze wszystkich zakątków świata.

Choć większość dziennikarzy odnosiła się do mnie z szacunkiem, część gotowa była nagiąć bądź złamać wszelkie zasady, byle tylko zrobić materiał. Szczególnie nieprzyjemny był przypadek jednego z pism kobiecych. Zwrócili się do mnie z prośbą o udzielenie wywiadu, jednak odmówiłam, ponieważ czułam się wyczerpana. Szef mamy, który w moim imieniu umawiał się z mediami, przekazał odmowne odpowiedzi wszystkim, którzy prosili mnie wówczas o spotkanie. Przedstawiciele tego pisma najwyraźniej jednak nie mogli tego pojąć. Ich dziennikarka próbowała zdobyć mój nowy, zastrzeżony numer telefonu, tłumacząc urzędniczce, że dzwoni w sprawie prywatnej. Ponieważ miała identyczne nazwisko, jak jedna z moich przyjaciółek, niemal dałam się nabrać. Następnie wyszukała mój adres w książce telefonicznej i przysłała wprost do mojego mieszkania poprosić o rozmowę. Dałam jej numer szefa mojej mamy i kazałam umówić się z nim, to jednak nie poskutkowało. Następnego dnia redakcja przysłała mi ogromny bukiet kwiatów, próbując wzbudzić we mnie poczucie winy. Zamiast tego jednak poczułam się osaczona. Postanowiłam nie mieć z tym pismem nic wspólnego.

Zgodziłam się natomiast na wywiad z dziennikarzami „Woman's Day”. Oprócz wywiadu zorganizowano sesję zdjęciową - bardzo wyczerpującą, ale i przyjemną, ponieważ mogłam ubrać się w najmodniejsze ciuchy. Choć większość dziennikarzy wspominam miło, nauczyłam się, że nigdy do końca nie wiesz, co tak naprawdę wydrukują.

156

Tak to już jednak jest z mediami. Musiałam się tego nauczyć i nauczyłam się bardzo szybko. Skontaktowali się ze mną przedstawiciele australijskiego telewizyjnego Kanału Siódmego. Z przyjemnością udzieliłam im wywiadu. Następne propozycje nadeszły z jeszcze dalszych stron. Program o mnie zrobiła telewizja japońska. Praca nad tym programem była bardzo miła. Przesym-patyczny prowadzący zadawał mi pytania po japońsku, ja zaś odpowiadałam po angielsku. Odwiedził mnie także przedstawiciel telewizji niemieckiej. Niemal wszyscy dziennikarze zadawali te same pytania.

Czułam się zaszczycona, że mogę podzielić się swoją historią z ludźmi z całego świata. Mam nadzieję, że przynajmniej niektórzy zrozumieli, iż nie wolno rezygnować z marzeń. Jeżeli taki cud mógł zdarzyć się mnie, mógł zdarzyć się każdemu i chciałam, żeby wszyscy to wiedzieli. Przesabawne były próby przedstawienia przez ekipy telewizyjne uderzenia, dzięki któremu odzyskałam wzrok. Musiałam powtarzać to przed kamerą tak wiele razy, że nie byłam w stanie powstrzymać się od śmiechu. „Połóż się na sofie, próbując pocałować psa, przywal głową w stół, wstań, wyglądaj na zamroczoną. Do jutra”. Kiedy pracowałam z ekipą niemiecką, kazali mi powtarzać moment uderzenia, dopóki nie znaleźli właściwego ujęcia. Z trudem powstrzymywałam się od chichotania. Ami wyglądała na bardzo zdziwioną, widząc swą panią dziwnie kiwającą głową nad stolikiem, jakby była jakimś dziobiącym ptakiem. Ach, czego się nie robi dla telewizji!

Skontaktował się ze mną także Mark Leishman, znany nowozelandzki dokumentalista. Mark zdobył popularność, prowadząc program „Tux Wonder Dogs”. Był blisko związany z ludźmi z Towarzystwa Pomocy Niewidomym, szczególnie tymi odpowiedzialnymi za psich przewodni-

157

r

ków, dlatego z zainteresowaniem obejrzał mój występ u Paula Holmesa. Już wcześniej poszukiwał przez Towarzystwo niewidomej osoby, która mogłaby stać się bohaterem filmu dokumentalnego. Kiedy zupełnie znikąd pojawiła się moja historia, zadzwonił z pytaniem, czy nie byłabym zainteresowana. Z przyjemnością wyraziłam zgodę.

Podziwiałam jego pracę na rzecz niewidomych i psich przewodników, kiedy zaś go poznałam, okazał się miłym i bezpośrednim człowiekiem. Odnosił się z sympatią do wszystkich ludzi, psi rodzaj zaś traktował z najwyższym oddaniem i czułością. Na planie poznałam też Jo, żonę Marka. Naprawdę szybko udało nam się znaleźć wspólny język. Także Ami polubiła zarówno Jo, jak i Marka, uznałam więc, że stanowią idealny zespół do nakręcenia filmu. Praca wciąż trwa, także kiedy piszę te słowa. Kamera wciąż śledzi moje życie, rejestrując na bieżąco wszystkie najważniejsze wydarzenia. Już nie mogę się doczekać, kiedy zdjęcia zostaną zakończone i wreszcie będę mogła obejrzeć gotowy film. Jestem pewna, że będzie dobry, mam pełne zaufanie do Marka i Jo.

Choć rozgłos potrafił być niesamowicie męczący, czułam się wspaniale, mogąc opowiedzieć wszystkim swoją historię. Najlepsze jednak wciąż było przede mną. Pewnego dnia w moim małym domku w Devonport zadzwonił telefon.

- Dzień dobry, dzwonię z redakcji „New York Timesa”, czy zechciałaby pani udzielić nam wywiadu?

W pierwszej chwili nie dotarło do mnie, że rozmawiam z przedstawicielem jednej z największych i najbardziej poważanych gazet na świecie. Udzieliłam im przez telefon

długiego wywiadu, który ukazał się kilka dni później. W dzień po publikacji mój telefon zadzwonił ponownie.

158

- Dzień dobry, czy mam przyjemność z panią Lisa Reid? - żeński głos w słuchawce był niezwykle uprzejmy. - Mam na imię Stacy i pracuję dla programu „Dzień dobry, Ameryko”. Chcielibyśmy zaprosić panią do naszego programu. Czy przyjazd do Stanów byłby, pani zdaniem, możliwy?

Możliwy! Oczywiście, że możliwy! Moja miłość do Ameryki była wówczas silniejsza niż kiedykolwiek. Nawet pomimo koszmarnego wyjazdu, kiedy miałam szesnaście lat, podczas którego wpadłam w koszmarną anoreksję. Nie winiłam za to Ameryki, to był czysty przypadek, że moje problemy z jedzeniem zaczęły się akurat tam.

Byłam zachwycona możliwością ponownego wyjazdu, szczególnie że wreszcie miałam możliwość zobaczenia tego wspaniałego kraju na własne oczy. Cóż więc mogłam odpowiedzieć na zaproszenie, poza cichym „tak”? Znow miałam odwiedzić Amerykę.

1

Rozparłam się w obszernym fotelu i zamknęłam oczy. Było mi błogo.

- To cudowne, Liso - wyszeptła mama.

Przytaknęłam z uśmiechem. Siedziałyśmy w biznesklasie samolotu do Ameryki. Było nam wspaniale, a wszystko dzięki producentom „Dzień dobry, Ameryko”.

Był styczeń 2001 r. Właśnie spędziłam najcudowniejsze święta mojego życia. Rob niedługo wcześniej wyszedł z kliniki. Kiedy go zobaczyłam, poczułam ogromną radość, ale i ulgę. Nasza miłość okazała się jeszcze silniejsza niż przedtem.

Świąteczny poranek spędziłam z mamą i Chrisem. Czułam się fantastycznie, otwierając prezenty. Wreszcie mogłam oglądać je na własne oczy, nie musiałam wyczuwać

161

dotykem ani zadawać pytań ofiarodawcy. Po południu pojechaliśmy na farmę należącą do siostry Roba. Była położona w cudownej, spokojnej okolicy. Dzięki dzieciom, osiemnastomiesięcznej dziewczynce i sześciolatniemu bliźniakom, zrozumiałam, że rodzinne święta są właśnie tym, o co chodzi w życiu. To przypomniało mi Jessikę Rosę. Chciałabym móc wziąć ją na ręce, pobawić się z nią. Zrobiło mi się smutno. Jednak nie na długo. Patrząc na roześmiane, rozbawione dzieci, nie można się było martwić. Wtedy właśnie poczułam, że chciałabym już mieć własną rodzinę, spędzać z nią święta... Wszystko to zawdzięczam trojgu małym rozbójnikom.

Wystąpiłam także w świątecznym programie Paula Holmesa. Zaproszono gości najpopularniejszych odcinków programu z całego roku. Włożyłam wiele wysiłku, aby dobrze wyglądać, nie przypominając jednocześnie dzinsowej panienci, z którą Paul spacerował po plaży. Wyglądałam i czułam się naprawdę świetnie i myślę, że było to widać na ekranie. Mniej więcej w tamtym okresie postanowiłam zerwać z kolejną częścią mojej przeszłości - pracą w szpitalnej ciemni. Postanowiłam zająć się czymś, o czym marzyłam od lat, na co jednak nie mogłam się zdobyć. Chciałam zostać psychologiem, by nauczyć się pomagać ludziom uzależnionym. W szczególności, chciałam pomagać ludziom z zaburzeniami odżywiania, doskonale bowiem wiedziałam, jak wielkie szkody mogą spowodować i jak trudno sobie z nimi poradzić. Żałowałam mojej starej pracy, ponieważ dobrze się tam czułam i poznałam kilkoro fajnych ludzi, z którymi wciąż utrzymuję kontakt. Nadszedł jednak właściwy moment, by odejść.

Przy całej świeżo zdobytej wolności i wspaniałych widokach na przyszłość, wizyta w moim ukochanym kraju była jak lukier na cięcie.

162

Zanim poleciałyśmy do Ameryki, przeprowadzono ze mną telefoniczny wywiad, na podstawie którego miałam zostać zatwierdzona jako gość programu przez jego producentów.

Siedziałam jak na szpilkach, dopóki nie zadzwoniono z potwierdzeniem zaproszenia dla mamy i dla mnie. Było mi jednak trochę przykro, ponieważ nie pozwolono mi zabrać Ami. Dla nas obu była to ciężka próba. Nigdy się nie rozstawałyśmy, teraz zaś miałyśmy spędzić bez siebie długie cztery dni. Gdy Rob odwoził nas na lotnisko, cały czas tuliła się do mnie z miłością.

Myślę, że nie zdawała sobie sprawy z tego, że zostaje, dopóki nie uścisnęłam Roba i jej na pożegnanie. Zaczęła szarpać się na smyczy, po czym wbiła we mnie swoje wielkie brązowe oczy. „Jak to? Nie możesz mnie zostawić!” Rob również czuł się nieswojo. Było mu przykro, ilekroć coś nas rozdzielało. Zwłaszcza, kiedy miałam wyjechać bez niego na drugi koniec świata. Dla nas wszystkich pożegnanie było naprawdę ciężkim przeżyciem.

Dzięki Bogu, że leciałyśmy business class. To był naprawdę długi lot. Żegnało nas piękne, słoneczne, nowozelandzkie lato, zaś przywitała mroźna, nowojorska zima. To był prawdziwy wstrząs i poważny szok dla naszych organizmów. Choć, szczerze mówiąc, sądziłam, że będzie jeszcze zimniej i liczyłam, że zobaczę, jak pada śnieg. Wielokrotnie mijaliśmy zasy, jadąc limuzyną do znajdującego się przy Times Square hotelu. Całe miasto wciąż jeszcze było przystrojone ozdobami świątecznymi. Gdy zobaczyłyśmy światła Times Square, zaparło nam dech w piersiach. To było jak we śnie. Nie mogłyśmy oderwać się od okien, pokazując sobie nawzajem sklepy, które chciałybyśmy odwiedzić.

Hotel był cudowny, bardzo luksusowy a nasz pokój ogromny, ze wspaniałymi meblami i dywanami. Przez

163

kilka następnych godzin trajkotałyśmy, jedna przez drugą, o tym co będziemy robić, jakie to wspaniałe i zarazem dziwne uczucie być tu. Mark i Jo przyjechali z nami, chcąc nakręcić do swojego filmu relację z mojej wielkiej przygody, zatrzymali się jednak w innym hotelu. W końcu poszliśmy z mamą spać, jednak wstałyśmy wcześniej, marząc o zakupach w Nowym Jorku.

Po śniadaniu w starym, dobrym, amerykańskim stylu, z naleśnikami i syropem klonowym, spotkałyśmy się ze Stacy z „Dzień dobry, Ameryko”. Była jak wszystkie spotkane przeze mnie mieszkanki Nowego Jorku. Piękna i świetnie ubrana. Była też niezwykle uprzejma, ciepła i pomocna. Opowiedziała nam, co będziemy robić i dokąd pójdziemy, a także zapytała, czy mamy ochotę, na coś szczególnego.

- Powiedz, jak trafić do Bloomingdale'a - odpowiedziałam. - To wszystko, czego nam w tej chwili trzeba.

Kiedy wyszłam ze sklepu, czułam się po prostu fantastycznie. Byłam obładowana prezentami i cudownymi widokami Nowego Jorku i tak podekscytowana, że nie miałam czasu denerwować się moim jutrzejszym występem, mimo iż miałam stanąć twarzą w twarz z milionami widzów niezwykle popularnego programu.

Następnego ranka wstałyśmy o szóstej, po czym pojechałyśmy ze Stacy do studia.

Dowiedziałam się, że wywiad ze mną przeprowadzi Dianę Sawyer, bardzo znana i poważana w Stanach Zjednoczonych dziennikarka. Choć była siódma rano, wyglądała świeżo i niezmiernie elegancko. Ja za to byłam zmęczona po wczorajszym dniu i musiałam pić kawę za kawą, by utrzymać się na nogach. Fakt, że nie było tego po mnie widać. Wyglądałam znakomicie, z pięknie ułożonymi lokami i nieskazitelnym telewizyjnym makijażem.

Kiedy siedziałyśmy w zielonym pokoju, w którym oczekiwało się na wejście na antenę, popijając kolejną filiżankę pysznej, niezwykle mocnej kawy, weszła Dianę.

164

- Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać - powiedziała swoim ciepłym, głębokim głosem.

Powiedziano mi później, że na ogół Dianę nie rozmawia z gośćmi przed programem, czułam się więc zaszczycona, że przyszła właśnie do mnie. Nie wiem, czy zrobiła to ze szczerego serca, jednak byłam naprawdę pod wrażeniem.

Stacy pokazała mi, gdzie mam usiąść, w jakiej pozycji, po czym zaczęto sprawdzać oświetlenie i ustawienia kamer. Byłam bardzo podekscytowana, w ogóle nie czułam nerwów, zwłaszcza po pierwszym spotkaniu z Dianą.

Wywiad wypadł bardzo dobrze, zwłaszcza że już wielokrotnie odpowiadałam na podobne pytania. Czułam się świetnie, dzieląc się swoimi doświadczeniami i myślę, że publiczność również dobrze się bawiła, słuchając tak szczęśliwej historii. Kiedy napisy końcowe przepłynęły przez ekran, Dianę uścisnęła mnie i poprosiła o kontakt. Byłam bardzo szczęśliwa, że wszystko się udało. Kiedy pojechaliśmy z mamą i Stacy na śniadanie, wciąż jeszcze byłam podekscytowana.

Po wypiciu takich ilości kawy myślałam, że skonam. Już w restauracji przeprosiłam mamę i Stacy i udałam się do toalety. Nie przyglądając się znaczkowi na drzwiach, weszłam, obrzucając niewidzącym spojrzeniem rząd dziwnie nisko zawieszonych umywalek. Ledwie zamknęłam się w pierwszej z brzegu kabinie, usłyszałam głęboki męski kaszel dobiegający z sąsiedniej. Ojej! Z całą pewnością byłam w niewłaściwym miejscu. Uchyliłam drzwi i wyjrzałam. Mój wzrok padł na dwóch mężczyzn korzystających z „umywalek”, które, oczywiście, okazały się pisuarami. Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy uciekać w panice. Wymknęłam się cichcem i najszybciej jak mogłam pognałam do stolika.

- No cóż, to przynajmniej wyczerpało dzienny limit bolesnych przeżyć - powiedziałam mamie i Stacy, nie

165

mogąc opanować chichotu. - Przypomnijcie mi, żebym na drugi raz używała mojego odzyskanego wzroku do sprawdzania znaczków na drzwiach toalet.

Kiedy skończyłyśmy się śmiać i zjadłyśmy śniadanie, Stacy zabrała nas do firmowego sklepu Disneya, gdzie kupiłam wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się z Kubusiem Puchatkiem. Kolejną uprzejmością ze strony redakcji „Dzień dobry, Ameryko” były bilety na mecz New York Knicks w Madison Square Garden. Nigdy wcześniej nie byłam na meczu koszykówki i nabawiłam się przez niego chrypki. Klaskałyśmy z mamą i dopingowałyśmy Knicksów przez całe spotkanie, jednak przegrali. Jak rodowite Amerykanki kupiłyśmy sobie w przerwie frytki i hot dogi.

Następnego dnia odbyłyśmy typowo turystyczną wycieczkę. Zwiedziłyśmy Empire State Building oraz Statuę Wolności. Myślę, że utrata wzroku wykorzeniła u mnie także lęk wysokości, w związku z czym z ogromną przyjemnością wdrapałam się na samą górę i patrzyłam na olbrzymie miasto u naszych stóp. Widok był niesamowity. Po raz kolejny dziękowałam Bogu za odzyskanie wzroku i możliwość oglądania świata. Kto mógł to przewidzieć? Wierzyłam, że pewnego dnia tak się stanie i stało się.

Kiedy mroźny, zimowy wiatr zwał mi włosy na twarz, spojrzałam ponad wierzchołkiem Statuy Wolności i poczułam, że tym jednym spojrzeniem mogę objąć cały świat.

Rozdział 24.

Powrót do Nowej Zelandii był trochę jak powrót z kosmosu na Ziemię. Całe zamieszanie wokół mojej osoby ograniczyło się w międzyczasie do sympatycznych, okazjonalnych gratulacji w sklepach bądź na ulicy oraz sporadycznych wzmianek w prasie. Wciąż także funkcjonował dowcip o niewidomych walących głowami w stoły w nadziei, że odzyskają wzrok. Mogłam więc wrócić do normalnego życia u boku mego ukochanego.

W lutym podjęliśmy ważną decyzję. Postanowiliśmy zamieszkać wspólnie, razem z Anji i Ami, jak prawdziwa rodzina. Byłam bardzo podniecona. Nigdy wcześniej nie mieszkalam z mężczyzną, jednak nie miałam względem Roba żadnych obaw. Zdecydowanie nadszedł właściwy moment na taki krok.

Najpierw jednak trzeba było znaleźć odpowiedni dom. Musiał być wystarczająco duży, aby Ami mogła się bawić, Anji zaś mieć swój własny pokój. Będąc w wieku trzynastu lat, potrzebowała swobody, a jednocześnie świadomości, że jesteśmy przy niej. Pomysł przeprowadzki bardzo się jej spodobał.

Rob chciał zostać w zachodnim Auckland, gdzie mieszkał od wielu lat. Choć żał było mi opuszczać Północne Wybrzeże i ukochane Devonport, chciałam być z nim i zgodziłam się na przeprowadzkę do zachodniej dzielnicy. Dom, który znaleźliśmy, położony był na przedmieściu Henderson. Był naprawdę duży i otoczony bezpiecznym, ceglany murem, z bramą z kutego żelaza. Miał wielki garaż, w którym Rob mógł majsterkować, piękny ogród z trawnikiem do zabawy dla Ami i mnóstwo pokoi, które pozwalały nam spędzać czas zarówno razem, jak i w samotności.

Kupiliśmy wielkie akwarium i wpuściliśmy tam złote rybki. Uwielbiałam przypatrywać się, jak pływają, niczym złote wstęgi zwijające się w przezroczystej wodzie. Zrobiliśmy sobie w tym domu mnóstwo zdjęć: z Robem, Anji i Ami, w najróżniejszych konfiguracjach, zawsze jednak z wielką liczbą zabawek z „Kubusia Puchatka”. Uwielbiałam gotować dla mojej nowej rodziny, pomagać Robowi w majsterkowaniu i marzyć o naszej wspólnej przyszłości.

Pewnej nocy rozmawialiśmy z Robem o tym, czego chcielibyśmy dokonać w życiu. On, jako budowniczy, marzył o tym, by wybudować dla nas idealny dom na wsi. Zaczęliśmy rozmawiać o tym, ile potrzebowalibyśmy pokoi i jak byśmy je rozmieścili.

- Musiałbyś wybudować duży pokój do zabawy dla naszych dzieci - powiedziałam w zamyśleniu. - Będą miały mnóstwo zabawek i będą potrzebowały dużej przestrzeni.

168

- No, wiesz, jeśli mamy mieć dzieci, będziesz musiała za mnie wyjść - powiedział Rob po chwili namysłu.

- Tak, chyba masz rację - odpowiedziałam, szczerze mówiąc, nie zastanawiając się nad rzeczywistym sensem naszych słów. Wiele razy rozmawialiśmy o przyszłej rodzinie i myślałam, że tylko żartuje, mówiąc o małżeństwie.

- Ale naprawdę, Liso. Ja mówiłem o ślubie zupełnie poważnie - powiedział, wpatrując się we mnie. - Gdybym poprosił cię teraz o rękę, zgodziłabyś się?

Spojrzałam na niego, próbując odczytać z twarzy jego myśli. Nie żartował. Naprawdę chciał wiedzieć, czy za niego wyjdę.

- Tak - odpowiedziałam po prostu, czekając na jego kolejny krok. Rob wziął mnie za rękę i głośno odetchnął.

- Liso, czy zostaniesz moją żoną? Nie wahałam się ani przez moment.

- Tak.

W ten sposób się zaręczyliśmy. Wciąż nie mamy pierścionka, ponieważ dotąd nie znaleźliśmy właściwego, oboje jednak wiemy, że w sercach jesteśmy zaręczeni, a to chyba najważniejsze. Mama była bardzo szczęśliwa, kiedy jej powiedzieliśmy, podobnie jak Chris. Anji nie posiadała się z radości i podniecenia, ponieważ poprosiłam ją, by była moją druhną. Datę wyznaczaliśmy na luty 2002 r., aby do tego czasu odłożyć trochę pieniędzy.

Marzyłam o wielkim, tradycyjnym ślubie kościelnym. Na moje pozostałe drużny poprosiłam Mel, koleżankę z pracy w szpitalnej ciemni, oraz Tracey i Kelly, dwie ukochane przyjaciółki, które wspierały mnie przez lata młodzieńczych cierpień.

Zainteresowanie mediów, choć zdecydowanie opadło, nie znikło całkowicie. Dianę Sawyer była do tego stopnia pod wrażeniem mojej historii, że zaproponowała „Prime-

169

Time'owi", jednemu z najpopularniejszych programów w telewizji ABC, zaproszenie mnie do specjalnego godzinnego wydania. Tematem miały być cuda przytrafiające się zwykłym ludziom. Po raz kolejny z przyjemnością pojawiłam się przed kamerami.

W marcu przyjechała ze Stanów cała ekipa, składająca się z dziennikarza, kamerzysty, dźwiękowca i producenta. W programie udział wzięli także mama i Rob, wiele ujęć pokazywało nasze codzienne życie.

„PrimeTime" jest programem o jeszcze większej popularności niż „Dzień dobry, Ameryko", miałam więc nadzieję, że zostanie dobrze przyjęty. Byłam bardzo szczęśliwa, kiedy dowiedziałam się, że „20/20" - program stacji TV3 - wykupił prawa do specjalnego wydania, by pokazać je w swoim niedzielnym wieczornym bloku. Miałam świadomość, że zainteresowanie dziennikarzy wzrośnie ponownie, jednak nie przejmowałam się zbyt. Mark Leishman wciąż jeszcze filmował moje życie. Wiedziałam, że nowy wybuch popularności ponownie przesunie termin zakończenia zdjęć. Bardzo się ucieszyłam, miałam bowiem kolejną porcję dobrych wieści do przekazania.

Pod koniec kwietnia zaczęłam czuć się nieco dziwnie. W ustach miałam dziwny, metaliczny posmak, często miewałam mdłości, zaczęłam się męczyć jeszcze łatwiej i bardziej niż przedtem. Myślałam, że przyczyną był stres. Postanowiliśmy właśnie przeprowadzić się z powrotem na Północne Wybrzeże, zaś zmiana domu zawsze stanowi problem.

Zdecydowaliśmy się na ten krok, ponieważ chciałam być bliżej mamy. Bardzo za nią tęskniłam i myślę, że dzięki przeprowadzce wszyscy poczuliśmy się lepiej. Dzięki temu też, Anji mogła chodzić do mojej dawnej szkoły - Liceum w Takapuna. Liczyłam, że polubi ją tak jak ja.

170

Poszłam do lekarza i poprosiłam o przeprowadzenie testu ciążowego. Po kilku chwilach pielęgniarka wróciła z wynikiem. Na jej twarzy malował się wyraz zdziwienia, może nawet dezaprobaty.

- Test wyszedł negatywnie, jednak pojawiła się także bardzo niewyraźna linia wyniku pozytywnego. Nie mogę na tej podstawie powiedzieć nic konkretnego. Żeby się upewnić, proszę wziąć jeszcze jeden test i zrobić go sobie w domu, za kilka dni.

Wręczyła mi niewielkie opakowanie i uśmiechnęła się.

- Proszę dać znać, jaki był wynik, dobrze?

Przytaknęłam, po czym wyszłam z przychodni, zastanawiając się nad przyczyną moich dolegliwości. Byłam nieco rozczarowana wynikiem negatywnym, zaczęliśmy bowiem z Robem myśleć o dziecku. Czuliśmy, iż wszystko rozwija się tak wspaniale, że nadszedł już właściwy moment. Mieliśmy, oczywiście, świadomość, że zajście w ciążę może potrwać. Po kilku dniach zebrałam się na odwagę, by zrobić drugi test. Tym razem linia wyniku pozytywnego była bardzo wyraźna i widziałam ją na własne oczy. Nie chciałam jeszcze robić sobie zbyt wielu nadziei, choć wyglądało, że mimo wszystko jestem w ciąży. Aby się upewnić, pojechałyśmy z mamą do lekarza.

Właśnie przyjechali do nas z Australii ciocia Liz i wujek Dave. Ich wizyta po tylu latach była dla mnie czymś wyjątkowym, przywołała bowiem mnóstwo wspomnień. To w ich domu ostatecznie straciłam wzrok, to do nich także pojechałam na zakończenie mojej cudownej australijskiej wycieczki z przyjaciółkami.

Liz pojechała z nami do przychodni. Nalegałam, by pozwoliły mi pójść samej i poczekały w samochodzie. Pielęgniarka zrobiła mi test. Czekałam na wyniki z wielkim niepokojem. Kiedy wreszcie wyszła, jej twarz rozjaśniał szeroki uśmiech.

171

- Jak pani sądzi, jaki jest wynik? - zapytała. Wstrzymałam oddech. Spróbowałam zwalczyć w sobie uczucie nadziei.

- Pozytywny?

- Tak - jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

Byłam w ekstazie. Ledwo pamiętam drogę z przychodni do samochodu. Po twarzy spływały mi prawdziwe strugi łez, szlochałam zaś tak głośno, że postronni mogli myśleć, iż spotkało mnie coś strasznego.

- Mamo, mamo, wyszedł pozytywnie - wyszlochałam najwspanialszą wiadomość na świecie.

- Będę miała dziecko.

Padłyśmy sobie z mamą i Liz w objęcia. Kiedy w domu powiedziałam Robowi, był zachwycony. Wciąż dotykał mojego brzucha, bądź przyciskał do niego twarz, by być jak najbliżej dziecka.

- Tam w środku jest maleńkie dziecko, Boże, jakie to niesamowite - wyszeptał, jakby nie mógł w to uwierzyć.

Anji także była bardzo podekscytowana, wprost nie mogąc się doczekać rodzeństwa. Data rozwiązania miała przypadać na 30 grudnia 2001 r., niemal dokładnie rok po tym, jak powinna przyjść na świat Jessica Rose. Czułam się, jakby moje życie zatoczyło koło, jakbym miała możliwość przeżycia tamtej chwili po raz kolejny. Lepiej.

Postanowiłam skonsultować się w sprawie ciąży z lekarzem rodzinnym, dr Sarą Burnett. Była pełna obaw związanych z moimi licznymi dolegliwościami w przeszłości.

- Guz mózgu, rak piersi, anoreksja, astma - wyliczyła, czytając moje akta. - Hm, Liso, myślę, że będziesz potrzebowała specjalistycznej opieki. Dla własnego dobra i dla dobra dziecka. W międzyczasie zbadamy, czy z dzieckiem jest wszystko w porządku i czy jest we właściwym miejscu. Ciebie także trzeba będzie gruntownie przebadać.

Rok wcześniej leżałam podczas badania iiIim-^im ficznego, jednak nie mogłam zobaczyć nulcnk ku komórek, który był moją Jessicą Ro»e. Ii dzający badanie lekarz musiał opisywać nn ' na ekranie. Tak też, z perspektywy osoby tt lam to w moim pamiętniku. Częściowo ci nieważ dało mi to dystans, bez którego \vv byłabym w stanie podjąć tak trudnej decyzji.

Jednak w przypadku drugiej ciąży sytuacja I inaczej też czułam się podczas USG. Mogłam na v oczy zobaczyć moje dziecko, po sześciu tygodniach »i Choć nie miało jeszcze rączek, nóżek ani innych odrębnionych organów, jego maleńkie serduszko biło. Nie mogłam oderwać wzroku od żarzącej się ekranie plamki zanurzonej w ciemnym płynie. Nie mogł przestać myśleć o rosnącym we mnie maleństwie.

Rob, który siedział obok, ścisnął moją rękę, wpatrując się z zachwytem w ekran. Mogliśmy zobaczyć nasze dziecko! Codzienny cud nowego życia, który mogłam podglądać dzięki niecodziennemu cudowi, który mnie spotkał.

Kończąc tę książkę, mogę z radością powiedzieć, że z moją ciążą jest wszystko w porządku oraz że nie mogę się doczekać ślubu z Robem. Chcę także w przyszłym roku rozpocząć studia. Zamierzam zostać psychologiem. Wiem, że to bardzo poważne wyzwanie, jednak nie rezygnuję. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by skończyć studia, zaś pomogą mi typowo Lisowy upór oraz okazały bagaż poczucia humoru.

Pragnę dzielić się z wszystkimi ludźmi zesłanym mi przez niebiosy darem. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie i będę niosła dobrą nowinę, dopóki starczy mi sił. W ciągu dwudziestu pięciu lat przeżyłam kilka różnych żyć i wierzę, że w przyszłości czeka mnie jeszcze wiele magicznych podróży. Z pewnością napotkam różne prze-

I

172

173

szkody, dziś jednak już wiem, że sobie z nimi poradzę, podobnie jak robiłam to przez ostatnie ćwierć wieku. Nie załamalam się, dzięki czemu jestem dziś lepszym człowiekiem. Zresztą, czy życie nie byłoby nudne, gdyby wszystko przychodziło z łatwością? Myślę, że skoro udało

mi się przeżyć raka, gwałt, załamania, złamane serce oraz podróż na skraj śmierci głodowej, poradzę sobie ze wszystkim, co w przyszłości przyniesie życie.

Często pytano mnie, co bym zrobiła, gdybym jutro obudziła się niewidoma. Czy czułabym złość, zgorzknienie, czy czułabym się oszukana? Czy żałowałabym, że w ogóle go odzyskałam, przez co strata stała się jeszcze dotkliwsza? Czy byłaby to kropla przepelniająca czarę, kończąca moje życie, po latach zmagania?

Zupełnie uczciwie, nie wydaje mi się, żebym czuła którąkolwiek z tych negatywnych emocji. Myślę, że nadal byłabym szczęśliwa, ponieważ tak czy inaczej otrzymałam od niebios dar i miałam możliwość przekazać tę wiadomość całemu światu. Wierzę, że to, co mnie spotkało, choć z punktu widzenia medycyny wydawało się nierealne, jest najprawdziwszym cudem.

Niewiele ich dziś spotykamy, niestety.

Nikt nie wie, dlaczego odzyskałam wzrok, choć oficjalnie nerwy wzrokowe obumarły, myślę jednak, że znalazłam wytłumaczenie. Przeszłam w życiu długą i wyboistą drogę i wielokrotnie mogłam powiedzieć: „Stop! Dalej nie idę”. Nie poddawałam się jednak, nawet pomimo iż wydawało się, że droga prowadzi donikąd. Mimo tego wierzyłam z całego serca, że pewnego dnia odzyskam wzrok. I tak się stało.

i

Oczy anioła

ZDARZYŁO SIĘ NAPRAWDĘ j

Kiedy zagrażający życiu rak odebrał czternastoletniej Lisie Reid wzrok, nie poddała się, nie uwierzyła, że jej świat już na zawsze pozostanie ciemny. Dziesięć lat później nastąpił cud, który całkowicie zaskoczył świat medyczny i poruszył ludzi na całym świecie.

Całując na dobranoc Amy, swojego psa-prze-wodnika, Lisa uderzyła się w głowę.

Niemożliwe stało się możliwe. Kiedy obudziła się następnego ranka, widziała.

W „Oczach anioła” Lisa wraz z pisarką Sharon Course opowiada historię swojego życia.

Zdumiewającą, wzruszającą, czasem szokującą. Od bolesnego dzieciństwa i trudnego życia niewidomej nastolatki przez gwałt, depresję oraz zaburzenia odżywiania ku szczęściu młodej, widzącej, zakochanej kobiety.

i KOCHAM

6.1

www.kdc.pl

V ISBN 83-89076-13-6

9 788389 076137